

MYSŁ NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 45.

WARSZAWA, 9 LISTOPADA 1930 R.

CENA NUMERU 80 GR.

J A Ł O W I Z N A

„Twój umysł zupełnie wyjałowił, Tygellinie!”

H. Sienkiewicz: „*Quo vadis?*”

DOPIERO dn. 1 b. m., w pełnym toku kampanji wyborczej, prowadzonej z niewidzianą u nas dotychczas gwałtownością i przy użyciu wyjątkowych zgoła sposobów oddziaływania na opinię publiczną, obóz „sanacyjny” zdecydował się wystąpić z wielką odezwą programową, mającą wyjaśnić społeczeństwu, o co wiedzie się walka. Zwolennicy „współpracy z Rządem” postanowili ujawnić swój program polityczny, którego zbawienność dostatecznie całkiem, ich zdaniem, usprawiedliwia wszystkie najdrastyczniejsze nawet środki, zastosowane celem jego urzeczywistnienia.

Odezwa wystylizowana jest w tonie uroczystym, z zamiłowaniem do przedstawiania naturalnego szyku wyrazów, przez co został jej nadany charakter kaznodziejskiej jakgdyby dostojności i powagi. Pod odezwą widnieje sto osiemnaście podpisów prezesów, wiceprezesów i innych dygnitarzy z rozmaitych stowarzyszeń społecznych, politycznych i t. d., którzy z różnych prawdopodobnie powodów uważali za rzecz najbardziej wskazaną nazwiska swoje pod powyższem oświadczeniem położyć.

„Sanacyjny” program wyborczy, w omawianej odezwie sformułowany, nie dotyczy całokształtu zagadnień polskiej polityki państwowej. Nie zajmuje się położeniem międzynarodowem, kwestją wzmagającego się nieustannie naporu niemieckiego na całość naszych granic, a w związku z tem koniecznością powiększenia siły obronnej Polski tudzież zabezpieczenia jej przez wytworzenie odpowiedniego systemu sojuszków i porozumień. Nie wspomina ani słowem o niebezpieczeństwie ży-

dowskiem, tak zawsze groźnem i wymagającym nieustannego, wszechstronnego i planowego odporu ze strony polskiego społeczeństwa. Milczeniem pomija sprawę ściślejszego zespolenia moralnego słowiańskiej ludności kresowej z państwem i narodem polskim, jak również metod, mogących doprowadzić do tego celu, aczkolwiek obecny stan rzeczy w tej dziedzinie przez nikogo zapewne nie może być uznawany za normalny i nie budzący troski. Nie interesuje się sposobami wybrnięcia z dzisiejszego kryzysu gospodarczego, nie poświęcając ani chwili uwagi niewesołemu położeniu rolnictwa, przemysłu, handlu, rzemiosła. Autorowie odezwy zapatrzeni są w jedno wyłącznie zagadnienie: naprawy Konstytucji. W tym jedynym zakresie od lat kilku z wytężeniem pracowała myśl polityczna obozu „sanacyjnego”, ażeby wreszcie, przez ogłoszenie uroczystego orędzia, móc objawić społeczeństwu polskiemu syntetyczne wyniki twórczych swoich wysiłków...

Odezwa występuje z tezą programową, że ustrój powinien być „dobry”. „Obywatele!” — woła — „Idziemy do walki o dobre prawa dla Polski... Pierwszy Sejm obdarzył nas Konstytucją złą”. Tymczasem „bez dobrego ustroju Państwo staje się bezbronem, a praca milionowych warsztatów narażona jest na zmarnowanie”... Atoli zdobycze myślowe ideologów „sanacyjnych” nie ograniczają się do ogólnikowego bądź co bądź stwierdzenia, że ustrój Państwa Polskiego nie powinien być „zły”, ale „dobry”. Snując dalej nie myśli twórczej, dochodzą oni do wniosku, że Konstytucja

tucja musi ponadto być „mądra“. „Im prędzej mądrą Konstytucję sobie nadamy, tem więcej pokoleń naszych będzie się mogło czuć bezpiecznie i — spokojnie w swej Ojczyźnie pracować“. Wydawałoby się, że właściwie nie potrzeba już niczego dodawać, że ów ustrój i „dobry“ i „mądry“ zarazem, z natury rzeczy stanie się też ustrojem miłym, zacnym, korzystnym, sympatycznym... Jednakowoż sumienie intelektualne twórców odezwy nie dawało im snadź jeszcze spokoju, postanowili bowiem sformułować swój projekt naprawy w sposób całkiem już szczegółowy i konkretny. Dodali przeto: „Chcemy mieć prawa, któreby siłę Państwa wzmacniały i potęgowały...“

Ustrój, któryby siłę Państwa i „wzmacniał“ i w dodatku jeszcze „potęgował“! Nie dziw, że mając poza sobą tak rewelacyjny dorobek w zakresie programu ustrojowego, autorowie odezwy, zachwyceni wynikami swojej twórczości, ograniczyli się już tylko do surowego potępienia dawnych postów sejmowych, którzy „poselskie prawa i wolności potworzyli“, oraz do wyrażenia bezwzględного zaufania człowiekowi, który „na czele Rządu stoi...“

*

Warto było zająć się szczegółowej odezwą programową Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, wykazuje ona bowiem w sposób niezbity, iż nie można bezkarnie, pod groźbą całkowitego wyjąłowania umysłowego, traktować programów politycznych wyłącznie pod kątem „spryckiego“ manewru taktycznego, niespodziewanego zaskoczenia przeciwnika i umiejętnego rozstawienia przynęt celem ściągnięcia pod jedną wspólną komendę ludzi o przeciwnych zupełnie ideałach i dążeniach. Niewątpliwie, program naprawy Konstytucji, tak jak został wypowiedziany w odezwie, mógłby być podpisany i przez najbardziej skrajnego konserwatystę, uznającego, że „siłę Państwa“ może „wzmocnić i spotęgować“ wyłącznie monarchja absolutna, i przez doktrynerskiego obrońcę pięcioprzymiotnikowego prawa głosowania, który uważa, iż jedynie rząd

oparty na zaufaniu najszerzych rzesz wyborców zdolny będzie toż „wzmocnienie i spotęgowanie siły Państwa“ rzeczywiście i niezawodnie zapewnić. Może on być podpisany nawet przez nacjonalistę żydowskiego, wypowiadającego opinię, iż najsukuteczniej „wzmocni i spotęguje“ siłę Państwa udzielenie najdalej posuniętych przywilejów „narodowi wybranemu“, ponieważ zagwarantuje ono władzy państwowej poparcie tak potężnego i tak rozległemi wpływami rozporządzającego czynnika, jak międzynarodowe żydostwo... Oświadczenia, że Konstytucja powinna być „dobra“ nie zaś „zła“, że ma być „mądra“, że pragniemy mieć „prawa, któreby siłę Państwa wzmacniały i potęgowały“, mogą wogóle być spokojnie podpisywane przez każdego, z wyjątkiem ludzi obdarzonych poczuciem śmieszności.

I tu właśnie znajduje się sedno sprawy. Obóz „sanacyjny“, którego jedyną troską stało się stłumienie wszelkiego głosu krytyki, fizyczne uniemożliwienie swobodnego wypowiedzenia się przeciwnikom, nie potrafi już nawet zdać sobie sprawy z tego, jak żałośliwe i jak humorystyczne zarazem sprawia wrażenie jego bezpłodność i zupełna nieporadność w zakresie umysłowym, tem widoczniejsza, im niezdarniej usiłuje się ją zamaskować patosikiem pozbawionych jakiejkolwiek treści frazesów. Mechanicznie zabezpieczając się przed krytyką, „sanatorzy“ utracili elementarny samokrytycyzm, nie są zdolni już dziś wyczuć tego, jaką ocenę wywoływać muszą ich oświadczenia u każdego, w normalny sposób rozumującego człowieka. W cieniu ochrony policyjnej myśl polityczna obozu „sanacyjnego“ nie rozwija się, nie dojrzewa, przedstawiając obraz coraz bardziej beznadziejnej pustki i zaniedbania. I jeżeli nie bez pewnej słuszności porównywano niejednokrotnie obóz „sanacyjny“ ze starożytnymi pretorjanami, to jedyną bodaj otuchą mogłyby stać się dlań słowa, jakimi Petronjusz w „*Quo vadis?*“ pocieszał dowódcę pretorjanów, Tygellina: „Jeśli nie starczy ci głowy, masz drugą w gałce od łaski!“

JAN REMBIELIŃSKI

I M P A S

JEDNĄ z podstaw ideologii „nowej“, powojennej Europy było przeświadczenie, że straciły wszelką moc dawne „przedwojenne“ sposoby utrzymania pokoju, że zerwać należy z tajną dyplomacją, trudzącą się nad utrzymaniem pokoju przez sojusze, będące gwarancją równowagi politycznej w świecie. Głoszono już w czasie wojny, że z wielkiej katastrofy i z nieskończonych ofiar i cierpień musi się wyłonić świat nowy, w którym zapadną zasady prawa i sprawiedliwości, oparte o moralność międzynarodową, której normy będą przyjęte dobrowolnie przez narody cywilizowane.

Historja ludzkości uczy nas, że warunkiem pokoju było istnienie równowagi sił między państwami czy narodami, które były ze sobą we

współzawodnictwie. Równowaga polityczna była jednak zawsze niestałą, bo siły państw i narodów nie są wielkościami stałymi, ulegają one ciągłej przemianie. Wojny były drogą do nowego układu stosunków, drogą katastrofalną, jeśli się tak wyrazić wolno — rewolucyjną; zabiegi dyplomatyczne zmierzały do osiągnięcia nowej równowagi drogą pokojową — ewolucyjną. Dążenie do posiadania sił i do sojuszków było naturalną, odwieczną tendencją państw.

Przed wojną trzymały losy świata w swem ręku państwa europejskie; państwa te zaś były podzielone na dwa obozy: Trójprzymierze (Niemcy, Austro-Węgry i Włochy) i potrójne Porozumienie (Anglja, Francja i Rosja). Sześć wielkich mocarstw

europiejskich tworzyło pozatem to, co nazywano Koncertem europejskim. Równowaga sił Tójprzymierza i potrójnego Porozumienia była gwarancją pokoju; mocarstwa złączone w t.zw. Koncercie dyktowały prawa narodom całego świata. Losy ludzkości nie były więc zdane na grę namiętności i wydarzenia przypadkowe, istniała pewna organizacja (choć bardzo niedostateczna), w której rozum i przewidywanie odgrywały pewną rolę. Europa i ludzkość, mimo starć interesów i wszelkich trudności, miały jednak poczucie pewnego bezpieczeństwa. Poczucie to było wzmocnione przez pomyślny rozwój gospodarczy państw europejskich. Ci, co pamiętają czasy przedwojenne, wiedzą, jak duża pod względem poczucia bezpieczeństwa i gwarancji spokoju istnieje różnica między okresem z przed r. 1914, a okresem po r. 1919. Kto sobie to uprzytomni, ten zrozumie znaczenie przedwojennej organizacji stosunków międzynarodowych.

Po wojnie postanowiono zorganizować życie międzynarodowe na nowych podstawach, potępiono sojusze, jako coś nietylko przestarzałego, lecz w dodatku przeciwnego moralności publicznej. Postanowiono dążyć do rozbrojenia powszechnego. Nad moralnością międzynarodową, nad stosowaniem się do zasad sprawiedliwości, nad poszanowaniem prawa miała czuwać nowa instytucja międzynarodowa — Liga Narodów. W ciągu ubiegłego dziesięciolecia patrzyliśmy na wysiłki kierowników państw europejskich, zmierzające do zabezpieczenia pokoju nową metodą. Byliśmy świadkami prac nad wytwarzaniem coraz to nowych gwarancji pokoju, od Protokołu genewskiego, poprzez pakti lokalnejskie do paktu Kelloga.

Wskazaliśmy już na to, że wysiłki te nie zapobiegły szeregowi wojen, nie skłoniły państw do rozbrojenia, nie powstrzymały zbrojeń, nie dały ludzkości poczucia pokoju i spokoju. Co więcej — ostatnie zgromadzenie Ligi Narodów stało się okazją do skonstatowania, że jest coraz powszechniejsze zaniepokojenie, że obawy wojenne zataczają coraz szersze kręgi, że ludzie odpowiedzialni za politykę państw coraz bardziej gorączkowo szukają sposobów zagwarantowania spokoju. To, co wielu prze-

widywało, dziś stało się faktem — ani Liga Narodów, ani nagromadzone w ciągu dziesięciolecia różnego rodzaju zobowiązania pokojowe nie są dostateczną gwarancją pokoju. W Europie i na innych kontynentach dojrzewają z wielką szybkością konflikty, których załatwienie na drodze pokojowej jest coraz bardziej wątpliwe!

Wytworzył się taki stan rzeczy, że poniechano i wyklęto dawne sposoby i metody organizacji życia międzynarodowego; rozpadły się sojusze i porozumienia. Te metody „nowe” zaś, które miały być moralniejsze i skuteczniejsze — zawiodły na całej linii. Naskutek tego panuje dziś w życiu międzynarodowym anarchja o wiele większa, niż była w r. 1914, nie masz sojuszków wielkich mocarstw, nie masz koncertu europejskiego, nie masz równowagi politycznej. Natomiast jest bezsilna i nie posiadająca egzekutywy Liga Narodów, jest kryzys gospodarczy, szerczący niepokój wśród jednostek, klas i całych narodów, jest cały szereg narastających konfliktów, jest zamęt w umysłach i w sercach, jest kryzys dotychczasowych form i sposobów rządzenia, słowem zarówno w dziedzinie materialnej, jak moralnej i umysłowej głęboki kryzys, przypominający okres upadku zachodniego Cesarstwa Rzymskiego.

Można powiedzieć, że zarówno w wewnętrznym życiu państw europejskich, jak i we wzajemnych między nimi stosunkach jest więcej powodów do zatargów, więcej materiału palnego, niż było w r. 1914, a tymczasem organizacja tych czynników, które mogą konflikty łagodzić, wybuchy powstrzymywać jest gorsza i słabsza, niż była w roku wybuchu wojny. Jeśli niebezpieczeństwa stąd wynikające dodać do tych, które są następstwem wad traktatów i rozwoju stosunków międzynarodowych w ciągu ostatniego dziesięciolecia, to trzeba dojść do wniosku, że obawy przed nową wojną są uzasadnione, że należy o niej myśleć, jako o rzeczywistym i groźnym niebezpieczeństwie i że najaktualniejszym dziś w polityce międzynarodowej zagadnieniem jest to, jak grożącej Europie wojnie zapobiec.

STANISŁAW KOZICKI

UMYSŁOWOŚĆ PIERWOTNA

W POSTĘPOWANIU z dziećmi — ale także i z dorosłymi — popełniamy często błędy, wynikające z oczywistego, jak sądzimy, założenia, że każdy umysł ludzki ma taką samą strukturę, tak samo obserwuje, myśli, rozumuje, wnioskuje. Różnice, które nie dadzą się pominąć, sprowadza się wyłącznie do różnic stopnia, do mniejszego lub większego wyposażenia w wiadomości: stąd przecenianie wartości nauki, pojmowanej jako udzielanie tych wiadomości¹⁾. Tymczasem istnieją różnice daleko ważniejsze, różnice jakościowe, które przedewszystkiem utrudniają nam porozumienie się z osobnikami o odrębnej umysłowości, lub zgoła uniemożliwiają ich zrozumienie bez odpowiedniego klucza psychologicznego.

Doniosłe badania Levy-Bruhla nad umysłowością ludów pierwotnych otworzyły nam oczy na

swoiste cechy „umysłowości pierwotnej”. Pokrewne im badania prof. Jana Piageta z Genewy nad umysłowością dziecięcą²⁾ uwydatniły zasadnicze jakościowe różnice między umysłowością dziecka i człowieka dorosłego. Piaget wykazuje także, w jaki sposób odrębności dziecka przechodzą stopniowo w cechy umysłu dojrzałego, przyczem podnosi, że nie jest to tylko proces rozwoju naturalnego, ale i proces przystosowywania się coraz doskonalszego do warunków życia społecznego.

Dla Piageta rozwój ten stanowi linię, rozciągającą się między dwoma punktami krańcowymi: typem dziecka i typem człowieka dorosłego w cy-

¹⁾ Zob.: Bogdan Nawroczyński: „Zasady nauczania” (Książnica — Atlas, 1930), Część pierwsza: Ideały dydaktyczne.

²⁾ Głównie wyniki tych badań zawarte w 4 książkach; dwie stanowią całość, zatytułowaną „Studja nad logiką dziecka”, mianowicie „*Le langage, et la pensée chez l'enfant*” (przekład polski „Mowa i myślenie u dziecka”) oraz „*Le jugement et le raisonnement chez l'enfant*”, dalsze dwa tomy znów bliżej się łączą treścią: „*La représentation du monde chez l'enfant*”, oraz „*La causalité physique chez l'enfant*”,

wilizowanym społeczeństwie. Koncepcja ta winna być uzupełniona. Zależnie od rodzaju życia społecznego, do którego dziecko się przystosowuje, a także od zdolności rozwojowych, indywidualnie różnych, wspomniane przystosowanie może mieć różny poziom. Innymi słowy, człowiek dorosły może w różnym stopniu zachować właściwości umysłu dziecięcego — lub może nawet pierwotnego —; i to będzie podstawą jednego z rodzajów różnic, które obserwować możemy wśród ludzi dorosłych. Cechy dziecięce są tu, oczywiście, zatarte. Wykrycie ich ułatwia jednak znakomicie zapoznanie się z nimi tam, gdzie one występują w stanie wyraźnym, mianowicie u dziecka. Dlatego prace Piageta, podobnie jak Lewy-Bruhla, mogą być interesujące nie tylko dla pedagoga.

Cechy umysłowości dziecięcej mogą zachowywać się w pewnych dziedzinach myślenia bardziej niż w innych. Piaget w swych pracach „*La représentation du monde chez l'enfant*” i „*La causalité physique chez l'enfant*” zajął się myśleniem dziecka o świecie przyrodniczym, pomijając świat zjawisk społecznych, a ten właśnie zapewne jest sferą, w stosunku do której najdłużej mogą się zachowywać dziecięce cechy myślenia. U nas zwłaszcza, typ — nazwijmy go „pierwotnym” — zarysowuje się wyraźnie w sferze myślenia o sprawach społecznych. Można na to znaleźć obfitość dowodów w prasie t. zw. „bebeckiej”. Bez miary np. stosowana nazwa „twórcy” w związku z wytworami długiej ewolucji historycznej lub wysiłków całego narodu żywo przypomina „artificializm” (zob. dalej) człowieka pierwotnego lub dziecka, które wierzy, że słońce jest dziełem jego rodziców i t. p. Albo czy wyznania wiary, niezgodnej z argumentami rozumowymi, a jednak uznawanej za powszechnie obowiązującą, nie przypominają słów dzieci, przytaczanych całymi szeregami przez Piageta? Otwórzmy pierwszy lepszy numer, dajmy na to „Dnia Polskiego”: „rząd Marszałka, w co głęboko wierzymy, poprowadzi państwo na nowe szlaki ustrojowe, dając mu powagę i siłę” — każdy z czytelników zna zresztą napamięć setki innych przykładów w tym stylu. Dużo materiału ilustrującego Piageta zebrał też systematycznie autor artykułu p. t. „Rewja” w Nr. 43 „Myśli Narodowej”. Pewną nieostrożność popełniła redakcja wydawanego przez Ministerstwo Oświaty czasopisma „Oświata i Wychowanie”, zamieszczając dłuższy artykuł sprawozdawczy F. Korniszewskiego p. t. „Umysłowość dziecka w ujęciu Piageta” (1929, zesz. 4 i 5), gdyż przy czytaniu go nasuwają się ustawiczne analogie z umysłowością pewnego typu ludzi dorosłych. Nie posądzam zresztą bynajmniej nieznanego mi autora artykułu o jakąś złośliwość, wykład jego jest ściśle obiektywny, ale dzięki temu właśnie analogie owe nabierają tem większego znaczenia. P. Korniszewski informuje też w przypisku, że prowadzi badania nad starszą młodzieżą i dorosłymi, i dochodzi do wniosku, że cechy, przypisywane przez Piageta tylko dzieciom do lat 13, spotykają się w znacznie późniejszym wieku³⁾.

Na czym może polegać różnica między myśleniem różnych typów umysłowości? Co do myślenia rozróżnić należy jego funkcję, strukturę i treść. Rozróżnienie funkcji i struktury zilustrować można fizjologicznie. Ta sama funkcja, dajmy

na to, lokomocji, trawienia, oddychania, może być wypełniona przez różne zwierzęta przy pomocy narządów o różnej strukturze — np. oddychanie płucami lub skrzelami, poruszanie się przy pomocy nóg lub pęczania i t. p. Otóż różnica między myśleniem dziecka a myśleniem dorosłego polega nie na funkcji, ale na strukturze, która jest odmienna. Jednostka wytwarza różne treści zależnie od charakteru swej struktury duchowej. Struktura myślenia cywilizowanego człowieka dorosłego wyraża się w logice formalnej, znanej nam z podręczników, a którą błędnie przypisujemy wszystkim istotom ludzkim. Struktura bowiem umysłowości dziecięcej np. ma jako odpowiednik logikę zupełnie inną.

Biologia uczy nas, że struktura zależy częściowo od wykonywanej przez siebie funkcji, czyli że narządy kształtują się pod wpływem wypełnianych przez siebie funkcji. Jednostki żyjące w społeczeństwach wyżej zorganizowanych doznają potrzeby współpracy myślowej i ta potrzeba, według Piageta, doprowadziła do wytworzenia się myślenia obiektywnego, stosującego się do zasad logiki formalnej. Dzieci takiej potrzeby nie doznają, natomiast mają inne potrzeby, a do nich najlepiej przystosowany jest inny rodzaj myślenia — myślenie egocentryczne, różniące się, jak już powiedziałem, pod względem struktury od myślenia człowieka dojrzałego.

Zrozumienie odrębności myślenia, nazwanego przez Piageta egocentrycznym, ułatwi nam dawniej już przez psychiatrów wprowadzone rozróżnienie między myśleniem autystycznym ludzi umysłowo chorych, a myśleniem uspołecznionem i logicznym cywilizowanych ludzi dorosłych. Piaget („Mowa i myślenie u dziecka”, przekł. polski, str. 6) tak mówi o tych dwóch typach myślenia: „Psychanaliticy doszli do przekonania, że trzeba rozróżnić dwa zasadnicze rodzaje myślenia: myślenie kierowane albo rozumowe i myślenie niekierowane, które Bleuler zaproponował nazwać „autystycznym”. Myślenie kierowane jest świadome, to znaczy, dąży do celów obecnych w świadomości myślącego; jest ono rozumowe, inteligentne, to znaczy, że jest przystosowane do rzeczywistości i stara się na nią oddziaływać; może ono być prawdziwe lub błędne i może być udzielane za pośrednictwem mowy. Myślenie autystyczne jest podświadome, to znaczy, że cele, do których zmierza, albo zagadnienia, które sobie stawia, nie są obecne w świadomości. Nie jest ono przystosowane do rzeczywistości zewnętrznej, lecz stwarza sobie samo pewną rzeczywistość, rzeczywistość fantazji lub marzenia, zmierza nie do ustalenia jakichś prawd, lecz do zaspokojenia pragnień, jest ściśle indywidualne i nie może być udzielane jako takie za pośrednictwem mowy. Operuje bowiem przede wszystkim obrazami, i na to, żeby się udzielić otoczeniu, musi się uciekać do dróg pośrednich, wywołując przy pomocy symbolów i mitów uczucia, które nim kierują”.

Pomiędzy dwoma powyższymi krańcami widzi Piaget cały szereg form przejściowych. Jedną z tych form jest myślenie dziecka, nazwane przezeń egocentrycznym, a które usiłuje już przystosować się do rzeczywistości, choć czyni to w sposób jeszcze niedoskonały. Dziecko nie kieruje się w swym rozumowaniu zasadami logicznymi, które uchodzą za naczelne prawa naszego myślenia.

³⁾ W dalszym ciągu artykułu korzystam wydatnie z referatu p. Korniszewskiego.

Dziecko nie stosuje ani zasady tożsamości, ani zasady sprzeczności, ani zasady wyłączonego środka.

„Dla poparcia tej tezy, powiada Korniszewski, przypatrzmy się nieco dokładniej jednej z naczelných zasad logiki formalnej i poszukajmy jej odpowiednika w myśleniu dziecka, a przekonamy się wtedy, że obok tożsamości funkcji istnieje wyraźna rozbieżność struktur obu umysłowości. Mam tutaj na myśli zasadę sprzeczności. Funkcja jej polega na uzgodnianiu naszych sądów i przekonań oraz na porządkowaniu i wprowadzaniu jedności i spójności wewnętrznej do wszystkich naszych myśli. Zasada sprzeczności nie jest treścią naszej psychiki, ale jej organem. Interwencja jej jest niezbędną przy zdobywaniu wszelkich nowych treści. Regulowanie przebiegów myślowych i ich organizowanie jest jej funkcją. I ta funkcja jest stała. Nietylko bowiem my, dorośli, ale i człowiek pierwotny, ale i dziecko także dąży do usystematyzowania swych procesów psychicznych. I dziecko pragnie zaprowadzić u siebie wewnętrzną łąd. Ale spójność myśli osiągnięta przez dziecko jest innego rodzaju. Dziecko uzgadnia nietyle swe myśli, ile raczej swe uczucia. Dla pogodzenia własnych uczuć potrafi dziecko przeczyć sobie bezustannie. Dlatego też nie może być jeszcze mowy u dziecka o zasadzie sprzeczności wtedy, gdy mamy na myśli jej strukturę. Zasada sprzeczności, jako struktura, ma znaczenie o wiele ściślejsze i węższe. Stosować ją można tylko tam, gdzie istnieje możliwość rozumowania hipotetyczno-dedukcyjnego. Gdzie tego nie ma, tam nie można stosować zasady sprzeczności, tam można jedynie uzgadniać własne przekonania przy pomocy sądów wartościujących, które dyktuje nam nasze wewnętrzne poczucie, nasze sumienie. I tak np. jeden może być jednocześnie i socjalistą i patriotą, a drugi nie. I jeden i drugi okazuje taką a nie inną postawę, kierując się subiektywnym poczuciem. Chcąc zastosować tutaj formalną zasadę sprzeczności, trzeba najpierw podać definicje socjalizmu i patriotyzmu, a potem dopiero przez proste ich porównanie stwierdzić, czy pojęcia wykluczają się, czy nie“.

Wyższe funkcje umysłowe wytwarzają się zatem, według Piageta, pod wpływem życia społecznego. Z potrzeby kontaktu myślowego wynikają zaczątki mowy, wyrazów, będących znakami pojęć. Myślenie autystyczne jest całkowicie indywidualne, wiąże się tylko z przedstawieniami obrazowymi itp. Wypowiadanie swej myśli celem zakomunikowania jej otoczeniu prowadzi do myślenia uspołecznionego a zarazem logicznego, liczącego się ze sprawdzianami nieosobistymi.

Uspołecznienie się myślenia dziecka odbywa się etapami. Najwcześniej uspołecznia się myślenie, związane bezpośrednio z działaniem (zabawą). Przytem jednak język, wyrażający to myślenie, będzie językiem mimiki, ruchów i gestów, a nie językiem wyrazów i zdań. Słowa występują tu tylko jako dodatek do ruchów i gestów. Na to, ażeby ukształtowało się czysto abstrakcyjne myślenie, wyrażające się tylko w słowach, potrzeba całego szeregu lat. Egocentryzm długo bardzo panuje nad myśleniem dziecka i częściowo pozostaje u człowieka dorosłego.

Niezdolność do myślenia abstrakcyjnego objawia się typowo w niemożności pojmowania prawa inaczej, jak nakazu jakiejś władzy, a więc w fakcie bardzo znanym nam obecnie.

Małe dzieci mówią bardzo wiele, ale nie są to bynajmniej rozmowy lub dyskusje, zmierzające do wspólnego dochodzenia do jakiegoś wniosku, do jakiejś prawdy. Są to monologi jednostkowe lub zbiorowe, rozkazy, prośby lub groźby, zwracane do osób lub przedmiotów. Z egocentryzmu dziecka wynika, że dziecko nie mówi po to, żeby je ktoś rozumiał, samo zaś nie słucha i nie usiłuje rozumieć tego, co się do niego mówi. Piaget formułuje przeciwstawienie między dzieckiem a dorosłym, mówiąc paradoksalnie, że dziecko myśli niespołecznie, nawet gdy jest w towarzystwie rówieśników, dorośli zaś myśli społecznie nawet w samotności (uwzględniając możliwych interlokutorów). Typowe też jest dla dziecka, że nie stawia się ono nigdy w położenie swego rozmówcy, że wierzy we wszystko, cokolwiek mu przyjdzie do głowy, nie odczuwając potrzeby kontroli, która rodzi się dopiero w dyskusji. Przytem dziecko nie ma świadomości swego egocentryzmu. Aczkolwiek patrzy na wszystko z osobistego punktu widzenia, stoi na takim stanowisku, jakgdyby jego punkt widzenia był powszechny i miał wartość bezwzględną.

Wychodząc z uznanych przez siebie przesłanek, dziecko dochodzi do innych sądów nie na podstawie stosunków logicznych, zachodzących między racją i następstwem, lecz na zasadzie różnicy i podobieństwa między przedmiotami sądów. W. Stern nazwał ten sposób rozumowania, w odróżnieniu od dedukcji i redukcji — transdukcją⁴⁾. Jest to sposób myślenia intuicyjny, oparty jedynie na poczuciu wewnętrznym.

Z bardzo licznych konsekwencji egocentryzmu w myśleniu dziećmiem uwydatniłem szczególnie niemożność postawienia się w cudze położenie, niezdolność wyjścia poza własny punkt widzenia oraz myślenie intuicyjne, transdukcyjne, ponieważ te cechy najwyraźniej występują u dorosłych jako oznaki „pierwotności“ umysłowej. Można by tu jeszcze wspomnieć o charakterystycznym sposobie pojmowania świata przez dziecko: świat cały jest dla dziecka, lub dla człowieka wogóle, jest wytworzony dla niego i przez niego. Na tem polega t. zw. artycjalizm dziecka i człowieka pierwotnego, łączący się z animizmem, t. j. przekonaniem, że wszystkie rzeczy (nawet jeśli są wytworzone) mają cechy życia i świadomości. Stopniowo dopiero wytwarzają się wyjaśnienia naturalne zjawisk przyrodniczych, — zjawiska społeczne, jak zaznaczyłem, zapewne dłużej pojmowane są artycjalistycznie (potrzeba nauk społecznych w szkole!)

Ciekawą cechą umysłowości pierwotnej jest również poczucie, t. zw. przez Lévy Bruhla, „partycypacji“. Umysł pierwotny nie rozróżnia sfery rzeczywistości i sfery myśli i stąd procesy zewnętrzne przedstawiają mu się na wzór schematów dostarczonych przez przeżycia wewnętrzne. „Partycypacja“ jest to stosunek, jaki umysł taki upatruje w rzeczywistości między dwoma istotami lub zjawiskami dlatego, że w myślach przedstawiają się one czy to jako częściowo identyczne, czy jako mające jakiś wpływ na siebie. Robienie rzekomego użytku z takiego stosunku „partycypacji“ w celu wpływania na rzeczywistość nazywa Piaget magią (np. przebicie podobizny wroga dla spowodowania nań śmierci).

⁴⁾ Zob. B. Nawroczyński, *l. cit.* str. 184.

Trwanie egocentryzmu i jego konsekwencji u pewnych ludzi dorosłych u nas wskazuje, jak się zdaje, na niedostateczne ich przystosowanie do życia w społeczeństwie o cywilizacji zachodnio-europejskiej. Przyczyn tych niedomagań wśród dzisiejszego pokolenia należałoby poszukać w warunkach środowiska społecznego, w jakim dani ludzie się rozwijali. Z drugiej strony — co ważniejsze może — wyciągnąć też należy wnioski pedagogiczne, dotyczące dalszych pokoleń. Otóż wnioskiem praktycznym, wynikającym z badań Piageta, a podkreślonym w artykule Korniszewskiego, jest to, że utrwalaniu się myślenia egocentrycznego sprzyja brak swobody intelektualnej, natomiast przemiana dziecięcego typu umysłowości w typ dojrzały „dokonywać się może jedynie

na drodze uspołeczniania, uspołeczniania pozbawionego przymusu, a ugruntowanego na szczerej i swobodnej współpracy rówieśników⁵⁾).

Obchodząc obecnie 25-lecie walki o szkołę polską, musimy się zapytać, czy szkoła polska jest już dziś środowiskiem społecznym, w którym rozwijać się może dojrzała umysłowość cywilizowanego człowieka zachodnio-europejskiego, — czy też niema w niej jeszcze może czynników, sprzyjających utrwalaniu się „umysłowości pierwotnej“.

W. GŁOWACKI

⁵⁾ Ze względu na ograniczony temat badań Piageta pomijamy tu świadomie kwestję rozwoju uczuć i woli, które muszą, oczywiście, tworzyć z umysłem harmonijną strukturę. Zaznaczamy to wyraźnie, chcąc uniknąć błędnego zrozumienia powyższego wniosku, jako zbyt jednostronnego.

STOSUNKI POLSKI Z WŁOCHAMI W CIĄGU WIEKÓW

(Ciąg dalszy)

UNIWERSYTETY padewski i boloński zaludniają się studentami polskimi. A są to ludzie nietylko młodzi ale i starsi wiekiem, których pociągają studja, kultura i niebo włoskie. *Ex italica cortisanorum disciplina* bezpośrednio lub pośrednio czerpali obok nauki polor, dowcip i ogładę wszyscy nasi humaniści: jak tryskający zjadliwą werwą Krzycki, jak elegijny ale szczery Janicki (pierwszy, który opisywał swe włoskie wrażenia) jak ambitny Ciołek, pełen blichtru Gamrat, hulaszcy Dantyszek, krytyczny i wielkiej pracy A. P. Nidecki, lub uczony i czynny obrońca wiary Jakób Górski i tylu innych.

A z wzorów włoskiej poezji wyniósł zachętę do pisania po polsku nie kto inny, tylko król poetów polskich, Jan Kochanowski, największy z polskich Padewczyków.

W Padwie nacja polska ma swoje ośrodki, organizacje, *contubernia*, jest znaczna pod względem liczby i dochodzi do wielkich wpływów. Świadczą o tem godności rektorskie, które przypadają Polakom, umiejącym się zasłużyć, wybić i wysunąć naprzód. Świadczą medaljony z herbami znakomitych Polaków w krążgankach tego ateneum.

Tu w Padwie — jak się wyrażono — kształcił się w XVI w. cały senat polski. Z Padwy, Bolonji i Rzymu wychodzili polscy teologowie, uczeni i prawnicy, którzy potem zajmowali katedry biskupie, urzędy ziemskie i trybunałskie. Z Padwy i Bolonji przeważnie świeccy, z Rzymu więcej duchowni.

Linji demarkacyjnej między temi ogniskami wiedzy, oddziaływającemi na Polskę, nie da się ściśle przeprowadzić. Młodzież polska wędruje zwyczajem ówczesnym z jednego miasta uniwersyteckiego do drugiego. Uniwersytat jagielloński podupada, i pielgrzymstwo naukowe, które owładnęło umysłami polskimi drugiej połowy XVI w. odtąd nie ustaje. Węzły duchowe Polski z Zachodem i Włochami zacieśniają się coraz więcej. Umysłowość polska nabiera wtedy pojęć i cech zachodnio-europejskich, kształtuje się na modłę zachodnią ze wszystkimi jej dobrami i złymi właściwościami. Za Zygmunta Augusta społeczeństwo polskie prze radza się wewnątrznie i zrywa ze średniowieczem.

Pod wpływem kultury włoskiej obudził się w Polsce człowiek nowożytny. Oglądamy go w literaturze, w utworach Kochanowskiego, w „Dworzaninie“ Górnickiego, a w życiu codziennem i politycznem wszędzie: na dworze i w kancelarii królewskiej, na urzędach i stolicach biskupich, po dworach magnackich, na wszystkich stanowiskach.

Wszyscy mówią i piszą „po katolicku“, t. j. po łacinie, w języku powszechnym. Polacy budzą podziw w obcych znajomością łaciny i wogóle języków. Lipsius wyraził się, że Polacy, wygnane z Grecji i Lacjum muzy przyjęli w swe gościnne ramiona. Łacina staje się w Polsce jakby drugim językiem macierzystym, a po włosku mówi bardzo wielu. Obcy zaś uważali, że tam gdzie się kończy łacina, tam się kończy Europa. I tak było w istocie.

Jeszcze jedno: Polacy, wyjeżdżający do Włoch, przywozili ze sobą nietylko inny horyzont, głód, sze obyczaje, nawet strój tamtejszy, co spotykało się w kraju z ostrzem satyry, ale także przywozili książki, które często tworzą podstawę zbiorów narodowych i wnoszą zaczątek nowych myśli i poczyną.

Była jednak i zła strona nietylko tych podróży, ile wyciągania z nich wniosków i konsekwencji. Studja humanistyczne i klasyczne nad historją i ustrojem starożytnego Rzymu przyczyniły się w niemałej mierze do opacznych i zgubnych potem dla Polski koncepcyj o wolności republikańsko-szlacheckiej i do stosowania w praktyce, i to dosłownego, żywcm tamtych teoryj, tak pożądaných dla umysłów i ideologii szlacheckiej.

Ogółem biorąc, okres odrodzenia miał wielki, często bardzo dodatni wpływ na rozwój jednostki oraz umysłowości całych warstw, ale też przyczynił się do wybudzenia na gruncie polskim indywidualizmu. Państwa i jego idei nie wzmoćnił. Przeciwnie osłabił je i podkopał.

Rzym jako cel podróży naukowych i politycznych wysuwa się też na pierwszy plan od końca XVI w. Nie dziw, bo w Watykanie zbiegają się nici wielkiej polityki całego świata chrześcijańskiego. Tu od końca XVI w. zdobywa się Polska, dzięki inicjatywie i ofiarności kardynała Stanisława Hozjusza, a życzliwości i poparciu Grzegorza XIII,

na własną organizację narodową w postaci Hospicjum i kościoła św. Stanisława.

Instytucja ta stała się przez zgórą dwa wieki widomym łącznikiem Polski z Rzymem i z Włochami, ogniskiem polskości nad Tybrem a nawet, w braku stałego poselstwa Rzplitej, odgrywa w XVIII w. rolę polityczną.

Sprawa t. zw. sum neapolitańskich t. j. spadku po królowej Bonie, zmarłej w Bari w r. 1557, była powodem długoletniej akcji dyplomatycznej polskiej w Rzymie, w Neapolu i w Madrycie. Zygmunt August i jego następcy ślali do Rzymu poselstwa za poselstwami, w których uczestniczyli między innymi: Jan Wysocki, Adam Konarski, Wojciech Kryski, Jerzy z Tyczyna, Piotr Dunin Wolski, Piotr Barzy, potem kardynał Hozjusz i jego sekretarz ks. Stanisław Reszka. Przeważnie byli to duchowni. Podczas gdy w Neapolu działali i odznaczyli się dwaj świeccy: Stanisław Kłodziński, znawca Włoch i języka włoskiego, Jan Żółczyński i inni.

W XVII w. również sprawa sum neapolitańskich nie przestaje zajmować kancelarii królewskiej i dyplomacji polskiej i staje się jej zmorą. Przez dwa wieki Polacy we Włoszech zaczęli i kończyli swe rozmowy na sprawie sum neapolitańskich, nigdy potem nie wyegzekwowanych i przeszłych do legendy.

W grudniu 1624 r. przybył w licznym orszaku do wiecznego miasta na jubileusz królewicz Władysław i z wielką życzliwością przyjęty był przez Urbana VIII. W czasie swej włoskiej podróży nabrał Władysław zamiłowania do teatru włoskiego i skutecznie przeszczepił go na grunt polski.

W niespełna 10 lat po Władysławie IV odbył słynny wjazd do Rzymu poseł Jerzy Ossoliński z misją do Urbana VIII. Wjazd ten upamiętnił w świetnym sztychu Stefan Della Bella.

Na polu literackim zasłynęli na gruncie rzymskim w tym okresie dwaj Polacy: jezuita Maciej Sarbiewski, którego talent poetycki zjednał mu przydomek Horacego polskiego i wieniec laurowy na Kapitolu, oraz dominikanin Abraham Bzowski, humanista, mówca i pisarz kościelny.

Podobnie jak w XVI tak i w XVII w. na stosunki Polski z Watykanem i Wenecją oddziaływała sprawa turecka i w szczególności polityka papieska wobec cesarza i Turcji, oraz popierającej Turcję — Francji. Problem turecki za Zygmunta III wypadł z tej równowagi, umiaru a zarazem czujności, z jaką utrzymywany był w polityce polskiej za ostatnich Jagiellonów i Stefana Batorego. Potęga półksiężyca zaciężyła odąd głownie na Polskę. Walki z Turkami dały wprawdzie Rzplitej sukcesy militarne i blask zwycięstwa wiedeńskiego, ale odciągały ją od zadań wewnętrznych, osłabiły i pozwoliły wzrosnąć i wzmocnić się sąsiadom na jej zgubę. Misja przedmurza chrześcijaństwa i kultury łacińskiej kosztowała Polskę bardzo wiele. Sława i popularność Jana III znalazła szerokie echo w literaturze współczesnej włoskiej, a chorągwie zdobyte pod Wiedniem zawisły pod sklepieniem S. Maria della Vittoria w Rzymie.

*

Po śmierci Jana III zjechała do Rzymu i mieszkała tu przez 14 lat w Palazzo Odescalchi a potem na Trinità dei Monti — Marysienka. Tu odwiedzali ją jej synowie: Jakób, Alexander i Konstanty. Alexander spędził z matką w wiecznym

mieście około 8 lat i umarł w Rzymie w 1714 r. pochowany w kościele Kapucynów.

Życie polskie w Rzymie nie przestaje być żywym tętnem przez cały XVIII w. Wprawdzie znaczenie polityczne Rzplitej upada za obu Sasów, ale ruch między Italją, Rzymem a Polską nie zmniejsza się.

Nieliczna kolonja polska w Rzymie podjęła się i dokonała wśród wielkich trudności w pierwszej ćwierci XVIII stulecia wielkiego zadania, t. j. zupełnej przebudowy Hospicjum i kościoła św. Stanisława, w tej postaci, w jakiej je dziś widzimy.

Przez Hospicjum przewija się w tym okresie cały wyższy kler polski. Obydwaj Załuscy, Andrzej przyszedł biskup krakowski i Józef słynny referendarz i twórca biblioteki, ks. Wacław Sierakowski, przyszedł arcybiskup lwowski, Adam Krasiński, przyszedł biskup kamieniecki, Kajetan Sołtyk, po Załuskim biskup krakowski, Ignacy Krasiński, autor „Myszeidy” i przyszedł biskup warmiński. Obok nich studjują w uniwersytecie i w innych zakładach rzymskich setki młodzieży duchownej i świeckiej, by tylko Ignacego Potockiego wymienić, który uczył się w kolegium nazareńskim, w którym profesorem jakiś czas był ks. Stanisław Konarski, największa chluba wieku oświecenia w Polsce.

Stanisław August przywiązywał, jak wiadomo, wielką wagę do kulturalnych stosunków z Italją. W Rzymie on pierwszy stworzył stałe polskie poselstwo, na którego czele stanął Włoch, markiz Tomasz Antici.

Dzięki królowi z Włoch i z Rzymu czerpie natchnienie i naukę młoda sztuka polska. W rzymskiej Akademii św. Łukasza kształcił się, jeszcze za Jana III, jeden z pierwszych polskich artystów, Jerzy Eleuter Szymonowicz Siemiginowski. Potem 30 lat spędza w Rzymie (1710 — 1740) najwybitniejszy z naszych malarzy religijnych, Szymon Czechowicz. Po nim studjują w pomienionej szkole z malarzy: Antoni Stroński, Franciszek Smuglewicz oraz kilku wybitnych architektów: Zawadzki, Hempel i inni. Smuglewicz wybił się i był ceniony w Rzymie jako rysownik i malarz. Największy zaś i zasłużoną opinią cieszył się tu Tadeusz Kunzke, wyjątkowo uzdolniony malarz rodzajowy. Wszyscy oni tworzą tu i zostawiają mało dotąd znane w Polsce i nieocenione należycie dzieła.

Zdawało się, że z upadkiem Rzplitej węzły Polski z Rzymem i z Italją zostaną przerwane na długo. W istocie centrum narodowe polskie w Rzymie t. j. Hospicjum i kościół św. Stanisława zaraz po trzecim rozbiorze Polski dostaną się w obce ręce, gdyż i prawowity władca Rzymu, Papież Pius VI, był zmuszony uchodzić z Watykanu przed najazdem francuskim i niebawem umarł na wygnaniu. Rzym przechodzi pod panowanie francuskie.

Ale już w dwa lata po traktatach rozbiorowych, które na sto lat zgórą miały wykreślić imię Polski z karty Europy, idea niepodległości i zjednoczenia ojczyzny nie gdzieindziej tylko we Włoszech przyobleka się w żywe ciało legionów Dąbrowskiego. Z całej Polski ciągnęli do Italji żołnierze kościuszkowscy i młodzież. Tu zabiło serce Polski i rozbrzmiało najpiękniejszą z pieśni nadziei, siły i wiary w odrodzenie ojczyzny. Zanim wszakże legjony krew swą zaczęły przelewać na wszystkich polach bitew napoleońskich, weszły do Rzymu 3 maja 1798 r., w pamiętą rocznicę Konstytucji, jako korpus posiłkowy francuski. I oto jakby na zaklęcie znów budzi się w Rzymie życie polskie. Dąbrow-

ski zaprotestował przeciwko dokonaniem rabunkowi Hospicjum i kościoła św. Stanisława. Spadły pieczęcie z zamkniętej i konfiskatą obłożonej świątyni i Hospicjum na kilka miesięcy wraca znowu do swej historycznej roli środowiska polskiego w Rzymie.

Po tej przelotnej wizji i jakby śnie, jakim było pojawienie się Dąbrowskiego i legjonów w Rzymie i ich zniknięcie po kilkumiesięcznym pobycie, Polska traci swą eksterytorjalną placówkę w wiecznym mieście, by ją odebrać z rąk rosyjskich dopiero w 1918 r.

W epoce napoleońskiej reprezentowały nadal Polskę we Włoszech i całej Europie legjony. Były one zbrojną ambasadą, zbrojnym posłaniem Polski do Zachodu po zniszczeniu Państwa Polskiego.

Z Polaków o głośnych nazwiskach rezydował w tym okresie we Włoszech ks. Stanisław Poniatowski, syn Kazimierza, brata króla. Nasamprzód mieszkał on w Rzymie a potem we Florencji. Bawił się w mecenasostwo i posiadał bogate zbiory sztuki. Ożeniony z Włoszką z ludu, z Zatybrza, miał z nią kilka córek i synów: Karola i Józefa, którzy się wynarodowili. Podobnie stało się z rodziną generała Grabińskiego, osiadłego w Bolonii, po którym nawet nazwisko nie pozostało, gdyż syn i wnuk, pożeniwszy się z Włoszkami, przyjęli nazwiska Spada-Potenziani.

Po powstaniu 1831 r., w latach 1831-46, broni sprawy polskiej w Rzymie ks. Adam Czartoryski. Z jego ramienia działają tu między innymi hr. Cezary Plater, Ludwik Orpiszewski, ks. Augustyn Theiner oraz nowopowstały zakon O. O. Zmartwychwstańców, z X. X. Kajsiewiczem i Semenką na czele.

Równocześnie zaczyna znowu napływać do Włoch żywioł artystyczny. W Rzymie kształcił się z początkiem stulecia wybitny architekt Piotr Aigner, tu zjeżdżają dla studjów malarskich Wojciech Statter (1824), potem Postempski i cały szereg mniej znanych artystów. Ta brać artystyczna nie wahała się w r. 1848 poświęcać ideałów sztuki dla służby ojczyźnie i ona to utworzyła główny zręb szczupłego liczbą ale mocnego duchem legjonu, który Mickiewicz zawiązał 20 marca 1848 r. w Rzymie.

Emigracja polska i jej organizacje, nasamprzód Konfederacja Narodu Polskiego, przekształcona w następstwie w Zjednoczenie Emigracji Polskiej, weszła już wcześniej w stosunki z emigracją włoską i jej związkami, głównie Młodą Italią, na której czele stał Mazzini.

Tak sprawa polska została związana z włoską w umysłach i działaniu konspiracyjnym przedstawicieli obu emigracji, które ślubowały sobie wzajemnie pomoc i solidarność. Tą drogą doszedł Mickiewicz do zawiązania legjonu do walki o wolność budzących się ludów. W jego promiennej duszy, przejętej towianizmem, w jego wizjonerskim,

proroczym umyśle, samo słowo już nie wystarczało. Rwał się do czynu. Wybiegał myślą do odrodzonej ojczyzny o trzy pokolenia naprzód. Był przekonany, że już w r. 1848 mogły i powinny być prysnąć kajdany i że „znowu trzeba z Włoch Polskę do jedności, do obozu wyzywać”. Włochy były wtedy w pojęciu Mickiewicza „jedynym miejscem, gdzie występując prawdziwie po polsku, ale z nowego, polskiego ducha można po raz pierwszy poczuć się niepodległym na ziemi”. Zaś Rzym ówczesny Piusa IX, uważał Mickiewicz za „arkę europejskiej wolności”. To intuicyjne, a zarazem będące nakazem wewnętrznym pojawienie się Mickiewicza w Rzymie, zawiązanie legjonu do walki o wolność ludów, audjencje u papieża, cała jego akcja prekursora wielkich wypadków 1848 r. i tych jeszcze większych, które przysły dopiero w 66 lat później t. j. wojny narodów, o którą modlił się Mickiewicz wraz z całym swym pokoleniem, cały ten wieszczy lot, który zrealizować nakazywały mu jego przekonanie, jego sumienie i wiara, wydały się wielu ze współczesnych mierzeniem sił na zamiary lub nie dającą urzeczywistnić mrzonką. Krytykowały też inicjatywę Mickiewicza kierującą sfery emigracyjne z hotelem Lambert na czele, zarówno ze względu na ideologię towianistyczną, pod której hasłem Mickiewicz myśł swą urzeczywistniał, jak z uwagi na okoliczność, że zdaniem tych sfer działanie tego rodzaju wymagało doświadczonego kierownictwa wojskowego. Za Mickiewiczem poszła garstka artystów, żołnierzy i oficerów polskich. Przeciwwstawili mu się w Rzymie Zmartwychwstańcy i Zygmunt Krasiński, bawiący podówczas w wiecznym mieście. Mickiewicz pozostał, musiał pozostać wierny swojemu natchnieniu. Chciał dać nie tylko wizję poetycką ale czyn i nie jego wina, że czyn ten wybiegał poza sferę nie tyle możliwości co woli ówczesnego pokolenia europejskiego, któremu w stanowczej chwili zabrakło odwagi wszechstronnego działania, hamowanej, co prawda, przez realizm wypadków. Rok 1848 był to rok wiosny ludów, okres uniesienia, entuzjizmu i zarazem wielkich złudzeń, którym brakło właśnie wcielenia czynu. Tem więcej cierpki nastąpił zawód.

Mimo wszystko czyn Mickiewicza nie był tylko symbolicznym. Przemarsz legjonu mickiewiczowskiego wzdłuż Włoch, przez Civitavecchia, Livorno, Florencję, Bolonję, Modenę, Piacenzę do Medjolanu, zelektryzował i podbił dla Polski serca i umysły wszystkich Włochów. Sympatje Włochów, zdobyte wówczas dla Polski, co więcej wiedza o Polsce, jaką rozpowszechniał Mickiewicz pomiędzy Włochami, przetrwały dwa pokolenia.

(Dok. nast.)

MACIEJ LORET

Napady na zebrania przedwyborcze Stronnictwa Narodowego, niszczenie lokali i t. d., wywołują zwiększenie kosztów akcji wyborczej.

Wzywamy wszystkich naszych przyjaciół, którzy szczerze pragną, by nastały inne czasy w Polsce, którzy pragną dać wyraz swojemu oburzeniu na to, co się dzieje obecnie, by pośpieszyli z natchmianstowemi ofiarami pieniężnemi na pokrycie strat i szkód, wywołanych przez terror przedwyborczy.

Ofiary należy składać na konto P. K. O. Nr. 18-18.

NA WIDOWNI

Refleksje historyczne na wybrzeżu Kościuszkowskim. — Pomnik bohaterskich ofiar. — Paraliżowany patriotyzm. — Metoda badania autentyczności i metoda „przeboju”. — Walka o niepodległość nieskończona. — Z kim i o czym dyskutować? — Moda na bezmyślność i nikczemność. — Symboliczne zjawisko.

W DNIU 1 listopada na wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie odsłonięto pomnik na cześć poległych Dowórczyków. Msza obozowa przy ołtarzu w samochodzie wojskowym, kazanie ks. kapelana Jachimowskiego, przypominające rozmachem krasomówczym mowę ks. Kamińskiego na pogrzebie Wołodyjowskiego, obecność wojska, dźwięki „Jeszcze Polska nie zginęła” i marsza szopenowskiego, widok kształtnego pomnika — wszystko to między kochaną Wisłą a spiętrzoną Warszawą, pod jarzącym słońcem w błękitne południe — wszystko to, zaprzeczając żałobie, rozpierało serca poczuciem, że się jest w narodzie, który pragnie żyć i woła: „nikt nie zginął, póki ja żyję!” Mogiły pokryła bujność nowego życia. Matki, wspominające synów, płakały, ale i te łzy uczucie narodowe liczy do swych bogactw: słońce czyni z takich łez użytek, jak z brylantów.

Uczucie narodowe ma swoje odrębne prawa i szlaki; kojarzy się ze wspomnieniami historycznymi i budzi refleksje. Tutaj świat się trochę mroczy, ale refleksja nie zabija uczuć, jeno nie pozwala gnuśnieć w zapomnieniu i nierozumieniu.

Zywo stała mi w pamięci na tem wybrzeżu Kościuszki jesień 1917, kiedy w setną rocznicę śmierci bohatera Racławic wystąpił pierwszy raz na ulicach stolicy carów oddział Dowórczyków ze sztandarem Kościuszki, wydobyty z muzeum Suworowskiego. Ileż radości i nadziei obudziło to w sercu polskiem! Wojsko polskie, zorganizowane w pierwszym korpusie pod wodzą Dowbora-Muśnickiego, rosło w potęgę. Granice możliwości były rozległe; materiału na wojsko nasze liczono wówczas w armji rosyjskiej na 500,000. Maluczko a mogliśmy stamtąd dyktować swój los. Ale nie byliśmy wolni w swoim własnem wnętrzu narodowem. Dziś są właściwie w Polsce dwa narody, temci bardziej byliśmy rozdawani pod pretekstem frontów. Dziś przecież frontów niema wojennych, a jest wewnątrz to samo.

Pod straszną zasłoną wojny, ćmiącą słońce, toczyła się piekielna walka wewnętrzna o przyszłą Polskę: czy ma być ona według planów niemieckich mała i znikoma, czy też wielka, zjednoczona i trwała. Rozkładająca się Rosja stawiała się bagnem, na którym błędne ogniki złą wskazały drogę dzielnemu żołnierzowi. Pod wpływem dochodzącego z Warszawy, a szerzonego po całej Europie hasła *pax germanica*, obiecującego Grabcom „prawdziwą Popielów koronę”, zachwiały się i runęły plany korpusu pierwszego. Wiosną 1918 r. Polacy, ci sami, którzy teraz odgrywają w Polsce decydującą rolę, zniszczyli własnemi rękoma wspaniałą jednostkę bojową. Gdyby przetrwała jeszcze parę miesięcy, inaczej ułożyłaby się nasza granica wschodnia. Mając na wschodzie i na zachodzie własne armje, inaczej przemawialibyśmy na kongresie pokoju.

Dowórczycy wiele ofiar ponieśli, ale gdyby nie ta kapitulacja, pomnik na ich cześć byłby wy-

razem triumfu, nie żałoby. Oficerowie na wieść o kapitulacji odbierali sobie życie — i tych mogiły kryje wzniesiony w Warszawie pomnik. Nie byli oczywiście obecni na uroczystości sprawcy krzywdy wyrządzonej Polsce.

Nie byłoby serca o tem wszystkim wspominać, gdyby nie dzieje bieżące, które niosą na swej fali skutki tego, co było. Zaskoczeni niespodzianym obrotem sprawy polskiej, germanofile zmobilizowali się i zwarli murem nad kolebką nowej Polski, aby kierować jej wychowaniem i losami. Przytrzymano w tym celu armję Hallera, żeby nie wróciła na czas do Polski. Wydawało się to demokracji francuskiej rzeczą mądrą, ale nie przewidziała, że kongres nie kończy dziejów i że współpraca z Polską żywotną będzie potrzebna. Duch *pax germanica* żyje i prosperuje w oparciu o międzynarodową organizację, a dopóki będzie żył, Polska pozostawać będzie nadal w stanie walki o niepodległość.

Słyszę już nagane, że wyciągam stare dzieje i bawię się w rekryminacje. Ale ten głos to będzie jeszcze jeden więcej zabieg, mający na celu maskowanie prawdy. To, co mówię, nie jest przeszłością — to jest teraźniejszość; chwila polityczna nie mija, jak modna piosenka, albo taniec. W jakież zresztą inny sposób poznać prawdę dziejową, jak nie metodą historyczną?

Do tanich sposobów ogłupiania opinii należy hecowanie jej „przebojami”: każą nam np. wierzyć, że od wczoraj zaczęła się nowa era, bo w wywiadzie takim a takim jest mowa, że o nic innego nie chodzi teraz, tylko o ustrój państwa. Jakaż to ma być reforma? Nikt nie wie, ale od tej chwili wszyscy pod hypnozą zapowiedzi *conferencier'a* zapominają o tem, co się dzieje w rzeczywistości — czekają zapowiedzianego „przeboju”. „Sanacja”, w celu zawładnięcia niepodzielną władzą bez kontroli, ucieka się do wyborów. Wiadomo, ile spustoszeń czyni w życiu prawnym i państwowym, żeby cel osiągnąć. Ale w odezwie wyborczej do społeczeństwa zaczyna od słów: „Obywatele, idziemy do walki o dobre prawa dla Polski!”

„Chcemy mieć prawa, — czytamy dalej — któreby siłę państwa wzmocniły i potęgowały”. Na rzut oka widać, że ktoś kpi, robiąc poważną minę, że to jest maska z papieru, ale do dobrego tonu należy, udając mądrego, rozmyślać nad znaczeniem frazesu, nie mającego żadnego znaczenia.

To ma być rzeczywistość rzeczywista. Ale gdy wezmę maseczkę za marynarkę i powiem jej: panie dobrodzieju, ja pana znam; był pan na zjeździe defetystów w Sztokholmie w r. 1917, albo: czytałem w owym roku pańskie „*Polish Review*” w Londynie, albo: słyszałem pańską mowę na zjeździe wojskowych Polaków w Petersburgu; od tego czasu pan nie uczynił nic, co byłoby ekspjacją lub świadczyło o zmianie pańskiego stanowiska, — to wtedy taka metoda rozpoznawania autentyczności nazywa się rekryminacją, sprowadzającą sprawę na tory rozmów o zeszłorocznym śniegu.

Wogóle dzisiejszy publicysta polski jest w kłopotcie, jakiej metody używać. Bo zresztą o czym i z kim dyskutować? Powiesz: biało, to ci odpowiedzą: gadaj se co chcesz, a ja mam kij. Nigdy więc bezmyślność nie była modą tak nagminną, jak dzisiaj w prasie. Niedawno publicysta w urzędowym piśmie silił się na argumenty, że posłowie dlatego zasługują na więzienie, że zrywali sejmy swoim *liberum veto*. Coś mu się pomyliło, ale poco wogóle rozumuje?

Ogromne zrobiliśmy postępy w ciągu lat kilku w sprawie rujnowania moralności publicznej. Nie wydziwiamy publicystów politycznych, którzy przypadkiem dostali się do prasy z policji wywiadowczej; przypatrzmy się sferom literackim. Artykuł „Kur. Porannego“ (organ Boya) w sprawie Instytutu Literackiego (z 23 paźdz.), kończy się słowami:

„Ale tu idzie raczej o to, aby grupie miłej sercu „Myśli Narodowej“ zapewnić bezwzględny i wiekuisty monopol władzy w sprawach literatury. Pan Michalski jest Konradem Wallenrodem endeckim w łonie rządu. Rzecz osobliwa; te same czynniki rządowe, które rozumieją potrzebę „urabiania“ lada wójta z Psiej Wólki, nie doceniają widocznie obrzymiej wagi faktu, jakim byłoby oddanie wszelkich środków „popierania twórczości literackiej“ kłicie swoich najnieprzejednańszych wrogów. A jeżeli i to mało, w takim razie może doczekamy się zdarzenia, że „Polski Instytut Literacki“ złożony — za rządowe pieniądze — wieniec na grobie Eligjusza Niewiadomskiego“...

Podsuwa się w ten sposób rządowi, pałającemu nienawiścią do obozu narodowego, nową ofiarę, mianowicie p. Stanisława Michalskiego, wysokiego urzędnika przy prezydium ministrów, zarządzającego funduszem kultury. Żydzi upatrzyli w nim antysemitę i polecili prasie skorzystać z pierwszej lepszej sposobności, aby go usunąć, przy pomocy denuncjacji, z zajmowanego stanowiska. Bynajmniej tego nie taili.

Do Instytutu literackiego p. Michalski powołał między innymi pp. Szmydtową-Gąsiorowską, znaną polonistkę, autorkę wielu prac o Norwidzie i prof. Pigionia. Nazwiska ich wywyszliły wywiadowcy literacy w rocznikach „Myśli Narodowej“. To ma p. Michalskiego zgubić. Dodać trzeba, iż p. St. Michalski, mający swoje odrębne przekonania, nigdy do obozu narodowego się nie zbliżał. Zbliżył się do p. Szmydtowej i prof. Pigionia, pewno nie wiedząc o tem, że ogłaszali prace w „Myśli Narodowej“, jako do ludzi dalekich od polityki, a chlubnie znanych z pracy naukowej.

Z czasem, kiedy życie wróci do normy i nie będzie gubiła ludzi w oczach Rzplitej polskość i uczciwość, pokolenia wspominać będą ten epizod, jako niewiarogodny przykład upadku moralności w sferach literackich.

Dla tych, którzy mają w pamięci historję, którzy wiedzą, skąd się wziął taki a nie inny układ stosunków, nie są niespodziankami dziwne napozór zjawiska w gabinetach literackich i na ulicy. W dniu 5 listopada w śródmieściu Warszawa była świadkiem krwawych demonstracji przeciwko Stronictwu Narodowemu. Atakowano zebranie stronnictwa strzałami rewolwerowymi, bombardowano dom, gdzie mieści się redakcja „Gazety Warszawskiej“ (jak w r. 1905), a potem zdobyto lokal zarządu stronnictwa w alei Jerozolimskiej i tam w obliczu tłumów publiczności dokonywano pełnego wścieklej nienawiści aktu pomsty.

Jakżeż to szczególne zjawisko — zawołacie. Komu w Polsce wadzi stronnictwo ładu, dające państwu postawę mocarstwową przez wiązanie go z dziejami myślącego historycyźnie narodu? Była to zemsta za Traktat Wersalski, za zwycięstwo idei zjednoczenia, za przewagę moralną obozu narodowego, za bezsilność siły fizycznej.

Był to akt symboliczny, bo przecież zniszczenie lokalu dziejów nie odwróci. Ale takie zjawiska są ponczające. Kto nie umie wiązać zjawisk historycznych, ten się nauczy patrzeć na nie w błyskawicach.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

„WYCHOWANIE PAŃSTWOWE“

NAJMODNIEJSZEM hasłem oficjalnego szkolnictwa w Polsce jest hasło państwowego wychowania. O niczem się tak dużo nie mówi obecnie, jak o tem: ani o kształceniu przyszłych nauczycieli, ani o budownictwie szkolnem, ani o programach, o podręcznikach, ani nawet o heurezie. Tylko i właśnie o wychowaniu państwowem (nie: „narodowem“). Na wszelkiego rodzaju kursach i konferencjach, zjazdach i posiedzeniach organizowanych przez Ministerjum Oświaty, wygłasza się na temat wychowania państwowego (nie: „narodowego“) mniej lub więcej górne i mętne referaty. Wizytatorzy pod tym kątem widzenia przyglądają się zwiedzanym szkołom; chcieliby bodaj cośkolwiek z tego wychowania państwowego zobaczyć, a biedni dyrektorowie zachodzą w głowę, co też im pokazać... poza Portretami, które wiszą w każdej sali szkolnej, wszędzie, gdzie tylko dało się je powiesić.

O cóż tedy właściwie chodzi? Czyżby władze szkolne w Polsce niepodległej miały dane do podejrzeń, że w wielu szkołach panuje duch antypaństwowy, albo bodaj tylko obojętność względem własnego państwa? Że nauczyciele nie mają najlepszej woli wychowywania młodzieży na dobrych Polaków i dobre Polki, na obywateli, zdolnych i chętnych do pracy i poświęceń dla ojczyzny? A może nawet dochodzi do wiadomości władz, że niektóre szkoły w Polsce są ogniskami jakichś knowań, godzących w bezpieczeństwo i całość państwa?

Niestety! szkoły takie istnieją rzeczywiście na terenie naszej ojczyzny: w ich murach rozlega się swobodnie mowa niemiecka, rosyjska, żydowska, rуска, białoruska, litewska... Ale oto znów jeden z bolesnych paradoksów naszego życia! Nie do tych uczelni idą władze polskie, organ polskiego narodu, z propagandą, z wymaganiami, z nakazem państwowego wychowania; idą z tą propagandą do uczelni czysto polskich, do patriotycznych nauczycieli-Polaków. Takiemu człowiekowi, nieraz takiemu, który krew za Polskę przelewał, prawi się o „odpowiedniem nastawieniu uczuciowem względem idei państwowej, sprzyjającem rozwojowi poczucia państwowego“! Cóż, u Boga Ojca, czyżby ci nauczyciele, ludzie dojrzały, którzy pamiętają niewolę, wojnę, różne okupacje, ludzie, znający historję Polski i dzieje powszechne, Polacy z krwi, z kości i cywilizowani Europejczycy XX-go stulecia — czyżby oni mieli nie rozumieć, nie doceniać wartości własnego państwa, bezcennej wartości niepodległej silnej, wielkiej Polski dla Polaków?

Nie, tu musi chodzić o coś innego. Niewątpliwie tak jest; tylko cała rzecz w tem, że ci panowie nasi jednak się trochę krępują, jednak obawiają się wypowiedzieć tak całkiem wyraźnie, o co im idzie. Wolą się kryć poza tchórzliwymi ogólnikami i frazesami; chcą, żeby się domyślano. Wyręczmy ich zatem i stwierdźmy, że to ich „wychowanie państwowe“ znaczy poprostu wychowanie w kulcie dla P. Marszałka, w podziwie dla poczytnań „Jego Rządu“, w ślepej dla tego rządu posłuszeństwie. Kto bowiem z tego rządu jest niezadowolony, albo ośmiela się nawet — w ramach praw, w Polsce obowiązujących — występować przeciw-

ko tym posunięciom tego rządu, które w swem obywatelskiem, polskiem sumieniu osądza jako niemoralne, lub dla narodu i państwa niebezpieczne i szkodliwe — ten dla tych naszych obecnych władców jest... antypaństwowcem. Bo przecież państwo — to oni, oni — to państwo.

Zagadka rozwiązuje się bardzo, bardzo prosto. Jest to, jak widać, tylko jeden z licznych szeregu „kawałów“, jeden z komiczno-tragicznych „hocków-klocków“, w które tak obfituje doba obecna w Polsce.

J. C.

NAUKA I LITERATURA

PAMIĘTNIK DAWNYCH LAT

PAMIĘTNIK Juliana Talko-Hryncewicza „Z przeżytych dni“, (Warszawa, Skład główny Domu Książki Polskiej), zaciękawia samą już rozpiętością lat od 1850 do 1908 r., a więc z czasów zaboru, ale niejako u progu wolności. Bujność szczegółów, nieledwie ich nadmiar, skłonił autora, że przed sformowaniem skryptu do druku, uprosił profesora Wrzóska o dokonanie skrótu. Mimo to książka jest spora, bo format in IV-to zawiera przeszło 300 stron, prócz ilustracji i skorowidza nazwisk. Każda jednak karta pełna jest treści pod każdym względem: narracyjnym, historycznym i krajoznawczym.

Autor, z zawodu lekarz, uczony, w imię naukowych wartości, powołany został w odrodzonej Polsce na katedrę uniwersytecką, zaś Akademia Umiejętności mianowała go swym członkiem. Horyzonty widzenia i odczucia jego, jako pamiętnikarza, rozległe, zaś przedmiotowość i krytycyzm, opanowane techniką pisarską, hojnie prócz tego uposażyły tę książkę. Przedtem ogłosił szereg artykułów z zakresu antropologii i etnografii. Wydał studjum „Lecznictwo ludowe na Rusi południowej“. Uczestniczył w opracowaniu „Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów“ i był korespondentem, znanego przed wojną, słowianofilskiego tygodnika „Kraj“, pod redakcją Erazma Piltza i Włodzimierza Spasowicza, a także współpracował w naukowych pismach rosyjskich. Co do przekonań politycznych, to w programach stronnictw nie wyznawał się i przynależności do jakiegokolwiek obozu unikał. Co prawda, nie wiele miał sposobności do zetknięcia się z jasno określoną ideologią narodową, przeciążony pracą zawodową, typową dla stosunków kresowych pod zaborem, na stanowisku lekarza wiejskiego, on jeden na sto osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Dla czytelnika polskiego będzie jednak książka ta mieć szczególny posmak aktualności. Wypadki życia Talko-Hryncewicza od wczesnej jego młodości rozgrywały się na Litwie i Ukrainie. W prowincjach, których całą kulturę stworzył w ciągu wieków genjusz Polski, a dzieło tej kultury było z roku na rok przez wrogie i ciemne moce niszczone. Lecz wtedy jeszcze żywotne było to dzieło, organizacyjnie i oświatowo, a tego dowodem, że tak w naukowej literaturze rosyjskiej, jak nawet w rządowej korespondencji między administracją miejscową a Petersburgiem, gubernie Wołynia, Podola i Ukrainy, w wiele lat po rozbiorach, nazywane były guberniami polskimi, albo wprost Polską. Odblask życia społecznego na tych obszarach ujawnia się w plastyce opowiadania, mimo że autor liczył w chwili rozpoczęcia pracy pamiętnikarskiej lat 70. Pamięć jego nie zatrzymała się w kategoriach młodości, ani nie ugrzęzła w ich schemacie. Różnica atmosfery szkolnictwa w Kownie, zatrutowanej rusyfikacją, uwydatniona została chronologicznie. Tłem na wstępie są rzeczy rodzinnych stosunków autora. Od herbowej legendy jego rodu z nad Niemna, od epizodu aresztowania i wywiezienia jego ojca, za posiadanie broszur i gazet patriotycznych, aż po wiadomości o krewnych i znajomych,

w związku z ich działalnością narodową i kulturalną. I tak jeden z krewnych, stryj, słuchał na uniwersytecie w Królewcu wykładów Emanuela Kanta. Drugi krewniak był adiutantem Kościuszki. A pan referendarz Zaleski, obywatel ziemi Kowieńskiej i znajomy domu Hryncewiczów, zęgnął Mickiewicza na uczcie wydanej przez miasto. Z takich to wspomnień składa się tło Kowna, którego mieszczaństwo, inteligencja, wówczas, lat temu 80, były polskie. Od nastrojów technicznych wiarą w przyszłość, na następnym okresie tej epoki ukazują się plany, rysy złowróżbne, aż do zepchnięcia kultury polskiej i jej ostatecznej tam zatraty.

Choć nie, — że popełnię tu dygresję poza marginesy omawianej książki. Oto w kwartalniku „*Mouseion*“ (*Bulletin de l'Office Internationale de Musées*), wydawanym w języku francuskim, ze streszczeniami angielskimi, podany został artykuł pana Pauliusa Galaune p. t. „*Le Musée national lithuanien de Kounos*“. W artykule tym p. G. bezceremonialnie obdarzył wiekowym dorobkiem polskich pokoleń parodię kreowanego przez Niemców dzisiejszego państwa litewskiego. Pisał o tem nowem fałszerstwie p. Józef Młodecki, znany historyk sztuki, i prostował fałsze w jednym z dzienników warszawskich. Można dodać, że fałsze te są jedną z konsekwencji fałszowania historii polskiej w ciągu stu i więcej lat, nawiasem mówiąc, nie tylko przez cudzoziemców. Przodownictwo w tem dzierżyło długo szkolnictwo rosyjskie.

Hryncewicz uczęszczał do gimnazjum kowieńskiego w latach 1861—1863. Oblicze narodowościowe tego gimnazjum uległo zasadniczej, katastrofalnej dla polskiego stanu posiadania, zmianie. Gdy jeszcze w czasie wstąpienia autora do tej uczelni, tak uczniami, jak, z wyjątkiem dwóch, nauczycielami byli Polacy, to po wybuchu powstania styczniowego, zamknięciu i ponownem otwarciu gimnazjum, już Polacy, wśród uczniów, Rosjan i Żydów, stanowili mniejszość, a nauczycielami byli sami Rosjanie, zresztą zupełnie do roli pedagogów nieukwalifikowani. Żmudne, najeżone trudnościami, było życie studenta medycyny uniwersytetu warszawskiego, przemianowanego z Warszawskiej Szkoły Głównej na lichy, koszarowy uniwersytet, a później na studjach w uniwersytecie w Petersburgu. Wreszcie rozpoczął praktykę lekarską, na Ukrainie, a następnie na Syberji.

Całość wspomnień jaśnieje pogodą. Szkicowe, charakterystyczne obrazki życia studenckiego, sylwety nauczycieli Rosjan, sceny lekcji, a później, w czasie wykonywania praktyki lekarskiej, sylwety czynowników i dygnitarzów rosyjskich, ziemian i kupców, popów i Żydów faktorów, kreślone są z suggestywnym talentem, humorem, o zacięciu satyrycznym.

Odrębne znaczenie mają, wplecione we wspomnienia, zapiski badań lekarskich, antropologicznych i folklorystycznych z ziem kresowych i Syberji. Autor, zawsze z myślą o Polsce, przesyłał swe spostrzeżenia znajomym z korespondencji uczonym w Królestwie i Małopolsce. Zbiorem wykopalskich, na wiele lat przed wojną, muzeum Akademii Umiejętności w Krakowie obdarzył.

Książka „Z przeżytych dni“ jest lekturą ciekawą, wartościową, godną poznania.

ANTONI WYSOCKI

Z ŻYCIA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

Z powodu akcji, zorganizowanej przez żydowskich sanatorów polskiej literatury przeciwko Stan. Michalskiemu, dyrektorowi Funduszu Kultury, założyli protest grenijalny profesorowie wyższych uczelni polskich w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie i Warszawie, mając na względzie formę tej akcji i pobudki. Literaci polscy nie mają czysto polskiej organizacji i możliwości porozumienia się z sobą. Zupełnie jednak solidaryzują się z protestem uczonych polskich.

RUCH WYDAWNICZY

W tych dniach ukazał się nowy numer śląskiego kwartalnika literackiego „Zaranie Śląskie”. (lipiec — wrzesień 1930). Żywo i zajmująco redagowany kwartalnik, skupiający wokół siebie poważnych pracowników na niwie regionalnej, rozwija się coraz lepiej. Artykuły wstępny piora p. Łakomego porusza ciekawe zagadnienia regionalizmu śląskiego, w szczególności zaś rozstrząsa niezmiernie ważne zagadnienie organizacji pracy naukowej na Śląsku. Ponieważ narazie utworzenie uniwersytetu w Katowicach następuje zbyt dużo trudności, proponuje autor artykułu stworzenie Śląskiego Instytutu Badawczego, któryby się zajął programem prac naukowych na Śląsku i dla Śląska, i któryby pracą tą kierował. Postulat ten da się bez większych trudności zrealizować, gdyż Muzeum Śląskie, Śl. Tow. Przyjaciół Nauk oraz biblioteki posiadają dużo materiału niewykorzystanego i nieopracowanego. (Dotąd nie było można znaleźć nakładey na wydanie Słownika górnośląskiego, Gramatyki Górnośląskiego i tomu legend i podań z Śląska opolskiego ks. Przywary; manuskrypt znajduje się w depozycie u ks. Niedzieli w Bielszowicach). Interesujący jest także szkic Pawła Musioła o literaturze śląskiej XVII w.; w szkicu tym na specjalną uwagę zasługuje rozdział o fararzu z Tarnowskich Gór ks. Gdaczuszu. Kustosze biblioteki księdza Szersznika rozpoczął druk większej pracy o działaczach na Śląsku Cieszyń. ks. prob. Szerszniku. Ponadto znajdujemy w ostatnim numerze „Zarania” ciekawe materiały regionalne, nowelę Morcinka „Zalew”, wiersz Kłosińskiej, recenzje i niewydane pieśni ludowe.

Do nielicznej literatury, omawiającej technikę i rozwój sztuki kinowej, przybyła książka Tadeusza Maciukiewicza p. t. „Tajemnice Ekranu” (Wyd. księgarni M. Arcta). Podaje ona życiorysy wybitnych artystów ekranu i omawia jego znaczenie społeczne. Napisana jest barwnie i zajmująco, w wyrazistych skrótach przedstawia dzisiejszy stan wytwórczości filmowej zagranicą. U nas, jak dotychczas, stan tego przemysłu jest stale pod znakiem importu. Byłyby szczęśliwe próby rozwoju tej gałęzi krajowej wytwórczości, jednak ilościowo produkcja ta w żadnej mierze nie pokrywa zapotrzebowania sześciuset teatrów kinematograficznych w obrębie państwa, a rynek zbytu wypełnia produkcja obca, amerykańska i niemiecka, często tandetą. W ostatnich miesiącach wzmogły tę konkurencję obce filmy mówione. Godzi się nadmienić, że we Włoszech zakazał Mussolini importu filmów mówionych w obcych językach.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Monumentalnego dzieła ks. Henryka Brèmond'a p. t. „*Histoire littéraire du sentiment religieux en France*” („Historia literacka uczucia religijnego we Francji”) ukazały się świeżo dwa nowe tomy (VII i VIII), poświęcone „Metafizyce Świętych” („*La Métaphysique des Saints*”). Autor zajmuje się tu zagadnieniem modlitwy i bada rozwój jego w świetle poglądów mistyków francuskich XVI-go i XVII-go wieku, zaczynając od św. Franciszka Salezego. Krytyka francuska przyznaje dziełu ks. Brèmond'a duże wartości i stawia je obok słynnego „*Port-Royal*”, największego krytyka ubiegłego stulecia, Sainte-Beuve'a.

W przekładzie na francuski ukazał się pierwszy tom „Pamiętników” księcia Bülow'a, b. Kanclerza Rzeszy („*Memoires du Chancelier prince de Bülow*”). „Pamiętniki” te są, między innymi, jeszcze jedną egzekucją, dokonaną na osobie moralnej żyjącego eks-cesarza Niemiec, Wilhelma II. Bülow, charakteryzując Wilhelma, kładzie przede wszystkim nacisk na przecieństwo jego umysłu, na zupełny brak taktu oraz chorobliwą chęć podobania się wszystkim. Autor „Pamiętników” powiada o eks-cesarzu, że z taką samą łatwością, z jaką zmieniał swój uniform, umiał on, stosownie do okoliczności, zmieniać się duchowo: dla Rosjan potrafił mieć duszę adjutanta cara, dla Anglików — wnuka królowej Wiktorji, dla Włochów — zwolennika domu Sabaudzkiego albo monsignora rzymskiego, zależnie od tego, czy się zwracał do Kwirynału czy też do Watykanu. W istocie swojej był on raczej „*commediante*”, niż „*tragediante*”. W tych wspomnieniach, poza materiałem anegdotycznym, sporo jest rzeczy, mających pierwszorzędne znaczenie dla historii ostatnich czasów.

Twórczość literacka Francis Carco jest wybitnie paryską, a powiedzmy dokładniej jeszcze, iż związana jest specjalnie z Montmartrem. Carco zna też tę dzielnicę na wylot, zna jej dramaty miłosne i jej obyczaje, jej kobiety swobodnego życia i jej apaszów. Autor „*l'Homme traqué*” odtwo-

rzył też nam w całym szeregu swoich powieści nędzę i melancholię tej dwuznacznej dzielnicy. Ale bo też ulica wywiera na nim nieprzeparty urok i pociąga jego zmysł obserwacyjny. Dlatego może zresztą ostatnia powieść Carco nosi ten prosty tytuł: „*La Rue*” (Albin Michel edit.).

Autor zawiera przypadkiem znajomość z niejakim Fwarriste Cabrol, niedoszłym pisarzem, który jest poprostu „*un raté*”, a przysłał mu swój manuskrypt do przejrzania. Odnosząc go, poznaje otoczenie Cabrola, na które składa się jego niby córka Louise i bardzo podejrany mężczyzna, Maurice. Louise, ładna i młoda dziewczyna, jest naturalnie wyrzucana przez swoje otoczenie, które po części żyje z jej przystytucji. Autor interesuje się nią i chce ją zniewolić do zmiany tego niegodnego trybu życia. Przez dobroć czy też przez sympatię pragnie ją sprowadzić na prostą drogę. Louise jest mu niezawodnie sympatyczną, ale jest on przede wszystkim literatem. Górę bierze ciekawość psychologiczna; chce wyprowadzić Louise z tego nędznego poddasza, aby wyeksperymentować ją, jak w innym otoczeniu będzie na świat i życie reagowała. Dziewczyna ta stanowi dla niego przedewszystkiem pole obserwacji literackiej. Wkońcu wie już doskonale, że jej nie ocali. Pomimo to, wciąż jeszcze kierowany pewnego rodzaju perwersyjnością literacką, wysłuchuje jej zwierzeń, aż do chwili, gdy chora zakończy życie na łóżku szpitalnem, w odosobnieniu zupełnem i niezałożona przez nikogo. Carco, dzięki właśnie głębokiej znajomości tego środowiska, oddał w sposób niezmiernie przejmujący szczególną atmosferę, w której żyją te wyrzutki społeczeństwa.

„*Les Frères Bouquiquan*” (Nouvelle Revue Française). Powieść ta, której autorem jest p. Jean Prévost nie rozgrywa się także w salonach. Bohaterami jej, jak wskazuje tytuł, są dwaj bracia ze sfer robotniczych. Pierre pracuje jako mechanik, Léon przy wyładowywaniu wielkich łodzi na Sekwanie. Na tle tego krajobrazu odbędzie się zresztą i dramat rodzinny. Léon bowiem znęca się nad swą żoną Julie, a często również powraca pijany do domu. Jej szwagier, który kilkakrotnie był obecny przy podobnych scenach, brał młodą kobietę w obronę i pocieszał ją; potem wywiązała się pomiędzy nimi żywa sympatia i miłość. To też kiedy dnia pewnego energiczniej w jej obronie występuje, przychodzi do bójki pomiędzy braćmi, w czasie której Léon wpada do Sekwany i tonie.

Julie bierze na siebie całą odpowiedzialność za tę śmierć. — Jeżeli Piotr zostanie zaaresztowany, to będzie zesłany na ciężkie roboty. Julie chce go ocalić i tłumaczy, iż tego dnia mąż jej był bardziej niż zazwyczaj brutalny i pijany, że nikt nie popełnił zbrodni, ale Léon przypadkiem wpadł do wody. Fałszywe te zeznanie napewno jednak nie pociągnie dla Julie ciężkiej kary. Jeżeli zaś oboje godzą się na nie, to dlatego, iż małe dziecko, jakie znajduje się w kołysce jest ich dzieckiem... Dla niego Julie poświęci się, pójdzie nawet do więzienia, aby ocalając ojca, zapewnić synowi na przyszłe lata jego opiekę.

P. Prévost ujął ten dramat serc prostych w formę również prostą, a wobec tego znacznie bardziej ludzką. Przeprowadził on również ciekawe studium tych środowisk dosyć specjalnych, a mało znanych, wynosząc ponad miłość męża i żony, miłość do dziecka, które w istocie jest głównym bohaterem tej powieści, napisanej z dużą subtelnością i wycuciem sytuacji.

Powołany przed paroma tygodniami do Akademji włoskiej, znany i u nas pisarz, Ugo Ojetti, wydał ostatnio bardzo piękną książkę p. t. „*Bello e Brutto*” („Piękne i Brzydkie”). Autor, utalentowany powieściopisarz i publicysta, jest pozatem wybitnym krytykiem artystycznym i historykiem sztuki, o czym świadczyć może choćby ta, świeżo wydana, książka. Poświęcił ją Ojetti rozważaniu twórczości niektórych wielkich artystów półwyspu (Masaccio, Signorelli, Piero della Francesca i t. p.) oraz paru obcych (Goya, Dürer i in.). Wytrawne znawstwo dzieł sztuki łączy Ojetti z niezależnym sądem oraz żywą wrażliwością estetyczną.

W Buenos Aires ukazały się ostatnio dwie interesujące książki, jedna, napisana przez najbardziej cenionego poe'tę argentyńskiego i pisarza Leopoldo Lugones, pod tytułem: „*La Grande Argentina*”, druga zaś w formie powieści biograficznej: „*Juan Manuel de Rosas*”, której autorem jest Carlos Ibarguren. Obie książki, poza obfitym i sumiennym zebraniem materiałem dokumentarnym, cechuje wysoki artyzm, a jednocześnie żywość myśli. „*La Grande Argentina*” tchnie szczerym patriotyzmem, wplecionym w prawdziwie piękne opisy kraju. Oto kilka myśli z tej książki: „Moralność ojczyzny polega na tem, aby nie przynosić krzywdy własnym synom, nie ma jednak obowiązku czy-

nienia dobrze obcym. W stosunku do ludzkości nie ojczyzna ma obowiązki, lecz człowiek, jako taki. Ludzkość bowiem nie jest zbiorowiskiem ojczyzn, nie jest wytworem politycznym, ale czemś naturalnym. Międzynarodowość jest wytworem zagmatwania właściwych pojęć. Również i z drugiej książki warto zacerpnąć trochę zastanawiających myśli: „Skąd się rodzi tyranja? Oto, łączy się ona ze stanem anarchii. Jest objawem rozkładu społeczeństwa, albo też wrzenia rewolucyjnego. Tyranje zapowiadają albo dalszy i ostateczny rozkład, albo też początek nowej ery wśród gwałtownego wstrząsu odrodzenia“.

Książki te świadczą dodatnio o wzrastającej kulturze krajów południowo amerykańskich.

*

W Brazylii ukazał się zbiór utworów lirycznych jednego z najbardziej popularnych pisarzy Ribeyro Couto: „Un homem na multidão“ (Człowiek wśród tłumu). Liryki te odznaczają się młodzieńczą świeżością, która nie ogranicza się jedynie do formy, lecz również ujęcia i struktury. Ribeyro Couto nie obawia się czerpać tematów z codziennego, realnego życia, które na skrzydłach talentu przenosi do krainy czystej liryki. W jego opracowaniu ukaże się niedługo w języku francuskim antologia pisarzy brazylijskich.

*

Sergiusz Dan znany pisarz rumuński i autor powieści biograficznej o Antonim Panu, która wnet po ukazaniu się została wyczerpana, przygotowuje nową powieść pod tytułem „Wielki człowiek“. Inny wybitny pisarz, Michał Sadoveanu, członek Akademii rumuńskiej, który świetnie opisuje życie wiejskie i piękno lasów mołdawskich, przygotowuje powieść historyczną na tle wielkiej przeszłości Mołdawji.

TEATR

MIŁOŚĆ — ŚMIERĆ ROMAIN ROLLANDA

W TEATRZE Polskim Szyfmana, wrażliwym na nowe prądy, wystawiono dramat Romain-Rollanda „Gra miłości i śmierci“, osnuty na motywach Rewolucji Francuskiej. Francuz przyjrzał się swojej rewolucji w lustrze bolszewickim, a niema straszniejszej broni, jak karykatura. Wklęsłe lustro rewolucji rosyjskiej, która przecież studiowała się na francuskiej, zbrzydziła światu rewolucję. Obrazy jej u Romain-Rollanda przekładają legendę, którą pieściliśmy całe stulecie, na świeże konkrety, znane nam zbliska ze wschodu. Aktorzy naszego pokolenia pokazują na scenie z większym realizmem bydlęcość człowieka rozkiełzanego, niż to potrafili ich ojcowie. W Polsce, która dotąd przebywa choroby bolszewickie komplikowane, w Polsce gdzie heroje demokracji rewolucyjnego dostają konwulsji, nie wiedząc, w którą stronę się kręcić — na lewo po bolszewicku, czy na prawo po faszystowsku — dobrze jest pokazać na scenie pisarza cywilizowanego, który proponuje współczesności: a może- byśmy dla odmiany spróbowali być ludźmi.

Romain-Rolland zatęsknił do człowieka, do trudnej roli człowieka. Nie jest bohaterstwem zwalczyć go. Nie to, żeby społeczeństwo miało być piaskiem; życie normalne twórcze nie strzeże się na wewnątrz od wrogów. Łatwowiernie ufa jeśli nie dobroci natury ludzkiej, to rozumieniu, że wspólnym interesem jest utrzymanie się w dostojństwie człowieczem. Nie można przecież w domu rodzinnym chować pod klucz brzytwę w obawie, że syn zarżnie ojca, albo odwrotnie. Jest jakieś prawo, które odróżnia cywilizację od łobuzerii. Po ulicy idzie człowiek z zaufaniem do przechodniów, że nie rzucą się na niego dla kradzieży, czy z figlów. Dla pewności stawia się tu i ówdzie policję, ale znowu w zaufaniu, że ona nie stanie się narzędziem łobuzerii.

Zaskoczony terorem siły, człowiek ma tylko jedno do przestrzegania — utrzymać się w swoim ludzkim dostojństwie, nie spodełć. Tak widzi te rzeczy Romain-Rolland. Siła doraźna ma żywot przemijający; zło nie ma w sobie zarodków twórczości i ulec musi wobec sił dodatnich życia.

Że dobro zwycięża na dłuższy dystans, o tem wiedzieliśmy z melodramatów staroświeckich. Aleśmy o tem zapom-

nieli w życiu obliczonym na dystans krótki. Bo prawda żyje i dopomina się o coraz doskonalszą sztukę wypowiedzenia. „Gra miłości i śmierci“ jest zarazem grą człowieka wielkodusznego i małoduszności. Bohaterem dramatu jest mędrzec, a partnerką jego kobieta z sercem, które wyczuwa wartość gatunkową człowieka. Oboje są ludźmi, ulegającymi wahanom, oboje zgrzeszyli: ona łamiąc wierność małżeńską, on — słabością chwilową wobec przemocy. Pokonywując słabość reakcjami ideowymi, ze spokojem oddają życie, aby żyła prawda wieczna.

Romain-Rolland zacerpnął główny motyw z dziejów słynnego chemika Lavoisiera, którego z wyroku Robespiera stracono. „Rewolucja nie potrzebuje uczonych“ — powiedziano mu, gdy prosił o odroczenie egzekucji na parę dni, skończyć bowiem pragnie ważną pracę naukową. Autor dzisiejszy przeniósł tragiczność śmierci bohatera głębiej. Ten oddaje życie bynajmniej nie w roztargnieniu, znieczulony namietnością mózgową na to, co się z nim dzieje, lecz z wyboru beznamiętnego; z głębokiego poczucia prawdy żywej.

W szlachetny sposób odegrano sztukę w teatrze Polskim, co jest zasługą przedewszystkiem p. Przybyłko-Potockiej. Z hałaśliwego dramatu fizycznego rewolucji umiała wydobyc na plan pierwszy dramat duchowy dusz czystych. Osiągnęła to przez sciszenie tej partii aż do kontrastu. Wniknął w tę intencję jej partner p. Samborski, któremu warunk fizyczne nie bardzo pozwalają przytłumiać wyraz uczuciowy.

Reżyserja scen zbiorowych i głosów ulicznych była doskonała.

Z. W.

LEKARZ BEZDOMNY

BOHATER naczelnym nowej sztuki Antoniego Słonimskiego, mądry liberał — humanitarysta, (postać autorowi niezmierznie sympatyczna i reprezentująca jego idee) — czuje się bardzo źle w swoim domu, gdyż zatrująją mu życie jego dwaj synowie. Jeden z nich jest marksistą, drugi „obwiepolakiem“. Ojciec niecierpi obydwu jednakowo, widzi u nich (przez okulary pana Słonimskiego) skończonych durniów i nie mógłby w ich towarzystwie wogóle wytrzymać przez pierwsze dwa długie akty sztuki (ucieka z domu dopiero w trzecim, a uczyniłby to niewątpliwie już w pierwszej scenie), gdyby nie obecność pocziwego lichwiarza żydowskiego, z którym łączy go serdeczna zażyłość. Ten żyd, który pożyczca pieniądze zarówno ojcu, jak synom, jest główną więzią owej rodziny. Bez niego — wmawia nam autor — pomarliby wszyscy z głodu.

Rodzina owa — tak jak naród polski swój kraj — uyskała po ustąpieniu moskali z Warszawy mieszkanie. W mieszkaniu tem został obraz. Znamca — historyk sztuki — utrzymuje, że to oryginał Rembrandta. Z odkrycia tego oczywiście wszyscy się w niebogłoso cieszą. Posiedli skarb bezcenny — tak jak naród polski posiadał suwerenność — wskutek szczęśliwego trafu, że Niemcy wypędzili od nas moskali.

Obraz ten kradnie złodziej.

W domu wybucha piekło, które uspakaja się dopiero w trzecim akcie, gdy się okazało, że obraz ten był falsyfikatem. Sztuka kończy się emigracją naczelnego bohatera.

Szkoda papieru i czasu na rozwiązywanie rebusów, od których sztuka ta się roi.

Pan Słonimski operuje mnóstwem aluzijek i niedomówień. Pod adresem „sanacji“ strzela z za płotu, za to pozwala sobie na jawne obelgi pod adresem młodzieży narodowej, równając ją z komunistami.

Wie dobrze, że mu to ujdzie bezkarnie. Przecież młodzież narodowa nie zechce mu robić reklamy awanturą. Będzie najspokojniej oczekiwała na emigrację bezdomnych lekarzy.

Czy aby tylko naprawdę wyemigrują?

ZASTĘPCA

DYSKUSJA

CZY FOTOGRAF MOŻE BYĆ ARTYSTĄ?

W związku z artykułem p. Stanisława Pieńkowskiego w nr. 41 „Myśli Narodowej” otrzymaliśmy, z prośbą o wydrukowanie, następujące uwagi, które dla wszechstronniejszego omówienia sprawy, jako głos w dyskusji, zamieszczamy poniżej.

(Red.)

W Nr. 41 „Myśli Narodowej” w artykule o fotografice która ma być czemś w rodzaju dalekiej, bardzo miłej kuzynki sztuk plastycznych — p. St. Pieńkowski omawiając jubileusz dwudziestopięciolecia pracy p. Bułhaka na polu fotografii artystycznej, w drugiej części swego artykułu, wręcz odmówił wszystkim, którzy się z fotografią porają, a więc nawet p. Bułhakowi miana artysty.

Nie idzie mi tutaj o to, że autor artykułu uczynił to właśnie przy okazji jubileuszu, ale o to, czy uczynił to słusznie. P. Pieńkowski uważa za pogląd zgruntu błędny i do obalenia bardzo łatwy, jakoby fotografika zaliczała się do szeregu muz na równi z poezją, muzyką, rzeźbiarstwem, dramaturgią i malarstwem. A uzasadnia to w ten sposób:

„Fotografika posiada pewien rys zasadniczy i swoisty, który tak ułatwia oddzielenie jej od sztuki czystej (lub artystycznej), że po omówieniu go nie będziemy mieli potrzeby sięgania w tym celu do głębszych dowodów naukowych. Rys ten zaznaczony jest już w samej nazwie fotografiki, gdzie powiedziano, że robotę rysowniczą (graficzną) wykonywa światło (*fos, fotos*). Ponieważ zaś sztuką może być tylko taka praca, którą sam artysta wykonywa, a w fotografice rolc człowieka ogranicza się do skromnego zakresu dozoru i normowania pracy światła, więc żadną miarą nie można jej do sztuk artystycznych zaliczyć”.

Tylko zupełna nieznajomość zasad współczesnej fotografiki¹⁾ może rolę człowieka przy fotografowaniu ograniczyć do dozoru i normowania pracy światła. Kto zwiędzał ogólnie polskie i międzynarodowe wystawy fotografiki, przyzna chyba więcej racji słowom p. Jana Bułhaka²⁾, że:

„Obraz fotograficzny komponuje się, podobnie jak każde inne dzieło plastyki przestrzennej, rysunkowo, to jest w obrysie (sylwecie) i bryle, i malarsko, to jest w kolorach, czyli walorach, które są równoważnikami jednobarwnymi kolorów”.

A jeśli sobie to uprzątniemy, to trudno będzie zgodzić się z twierdzeniem p. Pieńkowskiego, który sądzi, że jego „lakoniczny dowód rozstrzyga sprawę raz na zawsze”.

Postaramy się udowodnić na przesłankach p. Pieńkowskiego, że tak nie jest. Bo jeśli, jak słusznie twierdzi, „podstawowym i niezbędnym warunkiem należenia danego dzieła do sztuki (artystycznej) jest zawarta we wszystkich jego cechach twórczość samego artysty” — fotografika właśnie ten postulat spełnia i spełniać musi.

Nazwa fotografiki jest stosunkowo niedawna; — powstała ona w miejsce t. zw. przedtem fotografii artystycznej i nazwą swoją przypomina nam jedną z gałęzi sztuk plastycznych jaką jest grafika. Niektóre t. zw. szlachetne techniki fotograficzne (np. przetłoki) przypominają bardzo metodę pracy w sztuce czarno-białej. Chyba p. Pieńkowski nie odmówi artyzmu grafikowi, który dozoruje i normuje pracę kwasów, trawiących płyty.

Prawda, można wysunąć tu argument, że rysunek został w pierw wykonany ręką samego artysty, a więc posiada niejako atrybut twórczości, — zaś obiektyw aparatu fotograficznego widzi wszystko z jednakową dokładnością, przedmiotowością i obojętnością; jest całkowicie analityczny i syntetyzować nie może, a człowiek kierowany wzruszeniem, uczuciem, skojarzeniami, mimowoli tworząc, tworzy syntezę kształtu i barwy, których niema w przyrodzie i temi syntezami, gdy jest artystą, rysuje i maluje. „Na tem właśnie — wedle p. Pieńkowskiego — polega sztuka i dlatego fotografja, jako twór mechaniczny, ze stanowiska sztuki jest bezduszny”.

Otóż możemy Sz. autora zapewnić, że z pewnością tak nie jest. Żałuję bardzo, że nie mogę ilustracjami wykazać, jak zarzut mechaniczności i bezduszności jest niesłuszny. U nas wciąż jeszcze dla wielu fotografja oznacza podobiznę, potrzebną do paszportu lub albumu pamiątkowego i nie chcemy zrozumieć, że takie zdjęcia równają się malowaniu ścian przez malarza pokojowego. Zdawałoby się bowiem, że prócz pomysłowości w ujęciu przedmiotu — fotograf nie ma możliwości posługiwać się fantazją i szukać oparcia dla swego dzieła w wizji twórczej, ale temu przeczą wystawy fotografiki, które właśnie wykazują, że jeśli artysta objawia siebie w swoim dziele — to fotograf także nie pozostaje mu obcy

Tak jak możemy na pierwszy rzut oka poznać obrazy Malczewskiego, Axentowicza, Stryjeńskiej — tak też (interesując się oczywiście fotografią) — rozróżnić potrafimy fotografie Bułhaka, Lenkiewicza, Świtkowskiego i in. Każdy z nich ma pewną manierę, pewną ulubioną technikę, pewne zamiłowanie tematu i ten rys, który składa się właśnie na indywidualną fizjognomję autora.

P. Pieńkowski fotografii jednak za dzieło sztuki uznać nie chce, a dzieje się to zapewne dlatego, że ogólny poziom fotografii artystycznej w Polsce jest stosunkowo niski. Wiąże się to zapewne z upadkiem smaku i znanstwa graficznego w drugiej połowie XIX w., a więc w dobie szerokiego rozkwitu fotografii rzemieślniczej i przemysłowej, która grzeszyła właśnie zarówno nieudolnością kompozycji rysunkowej jak i malarskiej.³⁾ Upředzenie p. Pieńkowskiego jest więc poczęści usprawiedliwione, ale tylko częściowo.

Chcąc odpowiedzieć, czy fotografja może być dziełem sztuki, zapytajmy w pierw, co wogóle nazywamy dziełem sztuki.

„Dziełem sztuki wogóle⁴⁾ nazywamy taki wytwór rąk i myśli ludzkiej, którego głównym, a w większości wypadków nawet jedynym celem jest zadowolenie nie materialnych, lecz duchowych potrzeb jednostki i ogółu, i to potrzeb duchowych specjalnej kategorii, mianowicie „estetycznych”.

To, że fotografja artystyczna jest wytworem rąk i myśli człowieka — dla znających współczesne techniki fotograficzne nie ulega żadnej wątpliwości, i jasne jest chyba także, że zaspokaja ona nie materialne potrzeby ogółu, ale tylko i jedynie estetyczne, a zatem, jako taka na miano dzieła sztuki zasługuje, zaś twórca jej *eo ipso* na miano artysty.

Sądzę, że tych kilka uwag rzuconych na marginesie artykułu p. Pieńkowskiego, nie przesądzą wprawdzie sprawy raz na zawsze, ale w każdym razie poważnie zachwieją antetą rzuconą na fotografię i wykluczającą ją ze społeczności muz.

I jeszcze jedno ostatnie spostrzeżenie. Autor kończy swój artykuł takim aforyzmem: „Artysta dla dzieła swojego jest ojcem, a fotograf — ojczymem”, czyżby więc wobec tego grafika miała być niesłubnym dzieckiem?

W. FRANTZ

¹⁾ Autor przyznaje się w artykule, że Bułhaka zna zaledwie z kilkunastu i to przygodnie napotkanych fotografii.

²⁾ „Poczucie waloru jako czynnik estetyczno-wychowawczy”. „Miesięcznik Fotograficzny”. Rok VIII. Nr. 87.

³⁾ por. Bułhak *op. cit.*

⁴⁾ Def. Ig. Matuszewskiego. Poradn. dla Samouk. cz. II

OFENSywa

CALIBAN ZABIŁ ARIELA

MIĘDZY faszyzmem w Italii a nefaszyzmem w Polsce jest ta różnica generalna, że pierwszy dąży bezwzględnie a systematycznie także i do umoralnienia całokształtu życia we wszystkich jego dziedzinach, podczas gdy drugi do zdemoralizowania kolejno wszystkich warstw narodu, do zatruć wszystkich społecznych tkanek i więzi i to rzekomo tylko dla dobra „unowocześnionego” państwa (absolutyzmu oświecony), w gruncie zaś rzeczy dla utrzymania się przy rządach, kusach i żłobach okupującej państwo „elity” (czytaj: maffii).

Można to stwierdzić na przykładzie, biorąc pod rozważanie choćby tylko jeden mały odcinek.

Mussolini zakazał w swoim czasie odbywania t. zw. „Konkursów piękności” (miss Italja), a zakaz ten umotywowano jak następuje:

— „Urok fizyczny, jaki wywiera kobieta jest zbyt świętym symbolem cnoty i miłości, by był wystawiany na publiczny pokaz. Młode niewolnice wschodnie, wystawiane na sprzedaż na rynkach lewantyńskich, wstydzą się, że są na widoku publicznym i starają się ukryć, tymczasem „królowe piękności” poświęcają wstyd swej płci pozując przed motłochem”.

— „Czcimy kobietę i schylamy z szacunkiem przed nią czoło, kiedy spełnia ona swe prawdziwe powołanie. Kształcenie się, organizacje społeczne i higieniczne — oto pole działania dla kobiet w naszym życiu społecznym. Na tym terenie może ona rozwijać swe wyjątkowe uzdolnienia, których nic nie może zastąpić. Kiedy podziwiamy kobietę w szlachetności jej cnoty i w wielkości jej godności, nie możemy tolerować, ażeby była ona obnoszona triumfalnie przez motłoch, jako królowa piękności, wzniecając niskie namiętności, miast budzić uczucia wzniosłe i szlachetne”.

Mussolini największą troską otacza obyczajowość i życie seksualne dorastającej młodzieży; w szkołach zakazane jest pod bardzo surowymi karami używanie słów ordynarnych, wulgarnych, ryszotkowych oraz klątw i wyzwisk. Również zakazane jest używanie plugawej gwary w wojsku w kasarniach.

Czy możliwe byłoby w dzisiejszej Italii granie w jakimkolwiek teatrze fotomontażowej sztuki p. t. „Cyankali”?

Czy możliwe byłoby w dzisiejszej Italii aby np. „*Corriere della Sera*” zamieszczało fejetony, propagujące ulegalizowanie spędzania płodu, t. zn. aboryzmu, niekaralność zbrodniarek, zabijających noworodki, wyszydzało kler i publicystów, zwalczających tę propagandę?

Czy możliwe byłoby w dzisiejszej Italii, aby prasa, podtrzymująca „absolutyzm oświecony”, równocześnie zamieszczała inseraty kuplerskie i stręczycielskie?

Czy możliwe byłoby, aby teatryki, uprawiające swobodny i seksualnie podrażniający repertuar kabaretowy równocześnie (subwencjonowane) apoteozowały *Il Duce*?

Era „Sanacji” moralnej u nas synchronistycznie łączy się z erą pełnego triumfu pornokratycznego pisarstwa i całkowitego upadku literatury poważnej w Polsce i prestiżu piśmiennictwa w społeczeństwie wogóle. Tak potwornego zaniku autorytetu i rezonansu moralnego wybitnych pisarzy w szerokich warstwach inteligencji nie przeżywalismy jeszcze nigdy. W zatruć powietrza skarykaturowanej despotki carskiej i sfałszowanego obecnie faszyzmu włoskiego widnie i ginie dziś wszystko, co Piękne, co Wzniosłe, co Szlachetne, co Etyczne, co Intelaktualne i Ideowe. Inteligencja polska na oczach naszych animalizuje się, zezwierzęca, zmienia w stada i w czeredy. Terroryzowana i korrumpowana, to głodzona, to straszona wygłodzeniem, bolszewizmem i inwazją zewnętrzną, zwolna, ale już całkiem wyraźnie zmienia się w *pecus*, w bydło, żrące, śpiące, z dnia na dzień żyjące, kopulujące, zatroskane li tylko o żer i dach nad głową, gardzące myśleniem, ideą, etyką, wolnością. Charaktery mocne i indywidualności etyczne są izolowane i wyszydzone; szuje, szubrawcy, łotrzyki, karierowicze, szczęściarze, filuty, męskie kurtyzany, rastakuery, cynicy, włamywacze panoszą się i przewalają jak opasłe wieprze na gnojówce.

Najstarszy apostoł „Prawdy” i Nestor pisarzy polskich z odrazy do trzymającej „swoloczy” usunął się już w cień samotności. Pisarze serjo dogorywają twórczo w głodzie lub w odradzie do tego pandemonium plugawstwa moralnego. Na estradzie literatury koziołkują tylko, wyją, ryczą, pluja i łapią swe plwociny i zbierają na talerzach miedzianych bakszys gadzinowego funduszu, zacharkane, serwilizmem cuchnące karły, geszefciarze, stypendysty ochrany, pędraki, pasożyty

i pasożyty katarzyńskiej Imperatorowej Sanacji. W przeciągu jednego dziesięciolecia doszliśmy w przyspieszonym tempie do takiego stanu moralnego rozkładu, do jakiego przedtem nie doszliśmy w przeciągu dziesięciu wieków. Bakcyle bratniej nienawści i zainfekowanej niemi chronicznej wojny domowej zatruwają literalnie każdy metr sześcienny powietrza. Piśmiennictwo, Literatura, Poezja i Sztuka, które przez cały wiek XIX podtrzymywały życie duchowe w niewoli pięknego moralnie narodu, teraz w niepodległej, ale zarażonej, nie grają już żadnej roli, zeszły na plan ostatni, zdeptane i skopane załajaniem butem graduszczygo kresowego chamstwa i rozszalałego egoistycznego bestjałizmu tych, co parodują równocześnie i faszyzm, i caryzm, i cezaryzm, i prussianizm, i staroaustrjacki styl rządzenia z przed roku 1848.

Nefaszyzm nadwiślański z faszyzmem Italii niema literalnie nic wspólnego na płaszczyźnie życia duchowego, moralnego, obyczajowego i intelektualnego. Jak dzisiejsza Polska więcej zbliżona jest do dawnego Peru czy Boliwii, tak *etos* dzisiejszej stolicy Polski to *etos* Buenos Ayres czy Rio de Janeiro. Sutenery i mechesy, makroły i mekusesy, sztyglicy i „sztryce” rządzą prasą. Handel żywym ludzkim towarem, kupowanie dusz i sumień, odbywa się na ulicach i placach już całkiem otwarcie, w świetle jasnego dnia.

Literatura zdechła, pornografia trjmfuje na całej linii. Najpoczytniejszym „pisarzem” roku 1930 jest już bezsprzecznie niejaki Belmont-Blumenthal: „Życie miłosne markizy Pompadour” 10 wydań, „Marja Vetsera” 14 wydań, „Pani Dubarry” 12 wydań, „Tragedja Habsburgów” 14 wydań. Najbardziej czytane książki w stolicy są tegoż Belmonta-Blumenthala: „Kapłanka miłości Ninon de Lenclos” i „Cesarzowa Nierządnicza Messalina”. Z tych nocnych naczyn obskurnego kaprawego brudasa-pornografa pije dziś publiczność stolicy Polski nefaszystowskiej swój nektar duchowy.

W tej samej stolicy, w której dziesięć lat temu inteligencja w potocznych rozmowach wymawiała nazwiska: Żeromski, Reymont, Kasprowicz, Świętochowski, Wyspiański, Norwid, Conrad, Słowacki, Berent, Brzozowski, Staff, dziś wymawia: Belmont i Pittigrilli.

W tej samej stolicy, w której jeszcze kilka lat temu wesołość niecili i pogodny śmiech wynurzali: Makuszyński, Perzyński, Siedlecki, Nowaczyński i inni, dziś zapanował wyłączenie, dusząc wszystko, co aryjskie, bezimienny, beznazwiskowy, beznarodowy, międzynarodowy *Mister Szmonces*.

Nawet Boy już nam na oczach kończy się raptownie, wiednie, usycha, zdecha.

Śmierdzącymi wyziewami swej prozy, zabrudził na czas jakiś wszechmożny Caliban całe Piękno mowy polskiej. Język Słowackiego i Norwida, prozę Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Świętochowskiego zanieczyścił gnój z pyska Szekspiroskiego Calibana.

Głos Arielów już do społecznych Polaków nawet nie dochodzi.

Najpoczytniejsi pisarze w r. 1930 są: Belmont, Pittigrilli, Caliban i Calibana rozwścieczona, wypasiona psiarnia.

Dopiero dzień Sądu Bożego nadchodzący i opadające na Sodomę żółte chmury gazów, wszystko i wszystkich wytruwając wykażą nam jasno, jaką to zbrodnię wszyscy kolektywnie popełniliśmy, pozwalając kloacznej prozie Calibana zatrumfować nad językiem Mickiewiczów i Sienkiewiczów, tolerując tę prozę, ba nawet zachwycając się, gdy nam gnojospad cuchnących słów ściekał na twarz ku uciesze przygotowujących się do likwidacji tego widowiska „Europejczyków”.

Etos faszyzmu i *patos* patryjotyczny Mussoliniego spotkają w niedalekiej przyszłości może nawet wielkie trjumfy.

Nefaszyzm, o ile się nie opamięta, czeka tylko jedno, t. j. pogrom z Zachodu i pogrom ze Wschodu. Państwa bowiem budują się na opokach a nie na bagnach; mocarstwa nie na moczarach.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Sanacyjny” tygodnik „Przełom” temi słowy rozpoczyna ostatni artykuł wstępny (nr. 44 z dn. 9 listopada):

„Nie jest rzeczą ani łatwą, ani bezpieczną komentować wypowiedzenia się Marszałka Piłsudskiego...”

Racja, racja, szanowni panowie, doskonałście powiedzieli... Że nie jest łatwe, dowodzi pełne zakłopotania milczenie dzienników „sanacyjnych”, zwłaszcza po pamiętnym oświadczeniu o talerzu... Że nie jest także bezpieczne, świadczą puste, białe szpalty konfiskowanych pism opozycyjnych, świadczą cele areztanckie, baszty, więzienia...

NAKŁADEM
MŁODYCH OBOZU WIELKIEJ POLSKI

UKAZAŁA SIĘ BROSZURA

JANA REMBIELIŃSKIEGO

DNIEPR I WISŁA

(W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ BITWY POD WARSZAWĄ)

CENA 60 GROSZY

OBUWIE

DAMSKIE, MĘSKIE i DZIECIENNE

na skórzanych i gumowych podeszwach oraz
balowe, poleca w dużym wyborze wyroby
własne

W. Dobrzyński

CHMIELNA Nr. 18. — Egzystuje od r. 1897



Samolot stwarza nowe rynki zbytu. Kupcy i przemysłowcy, posługując się samolotami, zwyciężają konkurencję. Zaopatrując się bowiem w towary drogą powietrzną i tą samą drogą dostarczając je swoim odbiorcom, zwiększają obrót towaru i pieniądza. Zamówiony towar tego samego dnia może być dostarczony odbiorcy w odnośnem mieście. Przewóz drogą powietrzną jest tani, gdyż wynosi zaledwie kilkadziesiąt groszy za 1 kg. Kupcy i przemysłowcy, w myśl zasady „czas to pieniądz“, posługujcie się w przewozie towarów samolotami!

Wszelkich informacji udziela wam biura „LOT“ lub firmy ekspedycyjnej Hartwig.

NAKŁADEM TOW. WYD.

„PATRIA“

SPÓŁDZ. Z OGR. ODP.

WYSZLY KSIĄŻKI:

Joachim Bartoszewicz

ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ

Wstęp. — Państwo narodowe. — Ustrój federacyjny — Republika-monarchja. — Ustrój władz. — Sprawa mniejszości. — Terytorjum i granice. — Polski patriotyzm.

CENA 3 ZŁ.

Zygmunt Wasilewski

PIEŚŃ W GÓRACH

Przedmowa. — Do słońca. — U źródeł. — Tragedja muzyka. — Poeci w Tatrach. — Na wyżynach kultury.

CENA 5 ZŁ.

Jan Gwałbert Pawlikowski

SPOŁECZNO - POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU

CENA 4 ZŁ.

Skład główny w księgarni Ossolineum
w Warszawie Nowy-Świat Nr. 69.

TOWARZYSTWO AKCYJNE

CUKROWNI

„CIELCE”

Pocztą i telegraf WARTA, ziemi Kaliskiej

Stacja kolei BŁASZKI



BIURO ZARZĄDU:

Warszawa, ulica Boduena Nr. 1

TELEFON 61.

TREŚĆ: Jałowizna *J. RembIELińskiego*. — Impas *St. Kczickiego*. — Umysłowość pierwotna *W. Głowackiego*. — Stosunki Polski z Włochami w ciągu wieków *M. Loreta*. — Na widowni *Z. Wasilewskiego*. — Wychowanie narodowe *J. C.* — Nauka i literatura („Pamiętnik dawnych lat” *A. Wysockiego* i t.d.). — Teatr *Z. W. i Zastępcy*. — Dyskusja („Czy fotograf może być artystą?” *W. Frantza*). — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego*. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47,

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM,